Cena 7 zł.

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok II | Warszawa, 31 marca 1946 r. | Nr. 13 (19)

Biblioteka CW 9013

JAN DOBRACZYŃSKI

TRAGICZNY ŻYWOT LEONA BLOY

*1846 +1917

Gdy się dziś tyle mówi o katolicyźmie francuskim, gdy się tyle o tym katolicyźmie opowiada na podstawie książek Bernanosa, Mauriaca, Daniel-Ropsa, Van der Meerscha, Schwoba, Ghéona czy innych, gdy się widzi z podziwem rosnący w setki tysięcy młodych ruch JOC, JAC, JMC — trzeba sobie uświadomić, że bez wielkiej przemiany, jaka się dokonała w katolicyźmie francuskim w drugiej połowie ubiegłego wieku, nie było by dziś tego renesansu katolicyzmu. Francja w dobie po Wielkiej Rewolucji była krajem, w którym katolicyzm zamarł. I to nie Rewolucja zabiła religię, bowiem rewolucje potrafią obalać tylko rzeczy zmurszałe i przeżyte, ale to religia stała się we Francji, jeszcze w przeddzień rewolucji, czymś pozbawionym życia i treści. Katolicyzm francuski zdegenerował się i zniknął. Pozostały tylko jego pozory, jedna jeszcze z wielu zewnętrznych cech grupy ludzkiej, którą przemiany rewolucyjne skazały na zagładę.

Po dniach rewolucji i historii napoleońskich nastąpiło odrodzenie zmarłej sto lat wcześniej epoki. Znowu ożył Voltaire, by swoim: „écrasez Infâme!" (to „Infâme", które trzeba pisać wielką literą, jak pisze się wielką literą Krzyż — haniebną szubienicę starożytności) by zapłodnić na nowo tępą, ale pełną złowieszczego chichotu negację. Koniec wieku we Francji to dni Rénana, ex kleryka wyrzygującego źle przetrawioną wiedzę, w sentymentalny sos odżyłej „Nowej Heloizy", oraz dni Zoli — wielbiciela zgorszeń i tanich efektów. W świecie, w którym Rénan mógł być wyrazicielem wiedzy, zaś Zola — reprezentantem sztuki, katolikom, świadomym swej Prawdy, musiało być ciasno. Ich głos był tylko „głosem na puszczy", przemowami do głuchych. Naturalnie byli także katolicy, którzy mogli mówić głośno — katolicy, których zawsze będzie dość na świecie, by robić złudzenie, że katolicyzm jest tylko czczą gadaniną, dającą się jak gąbka wycisnąć w garści. Fabrykantów „czystej wody" (całą ich zaletą jest niewątpliwie ta czystość) nigdy i nigdzie nie braknie. Takich ludzi, którzy umieją tylko ochać i achać nad swoją „wiarą", którzy się cieszą bez końca ze swym „życiowym idealizmem", a nie chcą zobaczyć w katolicyzmie prawdy, która parzy palce — takich ludzi we Francji nie brakło. Tym wolno było mówić, a nawet uważano, że dobrze jest, gdy mówią. Złotoustych a beztreściowych kaznodziei przyjmowało się jak najżyczliwiej nawet w gronie niewierzących, nawróconych satanistów witało się szmerem uznania.

Ale taki Barbey d'Aurevilly czy Paul Verlaine musieli milczeć. Louis Veuillot tylko dlatego zdobył prawo mówienia, że się sprzeniewierzył swej postawie. Ernest Hello, największy niewątpliwie myśliciel tej doby, próżno pisał w swym normandzkim odludziu. Nikt go nie słuchał. Przyjechawszy do Paryża i ujrzawszy to miasto świateł tak strasznie i beznadziejnie zanurzone w wirze zabawy i rozpusty, a tak obce myśli o Prawdzie, krzyczał w podnieceniu: „Gorze nam! Atylla się spóźnia!".

Atylla się nie spóźnił, na Francję runął grom „strasznego roku".—Ale i on nikogo nie wstrząsnął. Może tylko jeden człowiek widział w haniebnej klęsce coś więcej niż klęskę zranionych ambicji narodu, człowiek, który w „Sueur de sang" napisał:

„Francja jest pierwszym z narodów świata i inne narody powinny się czuć zaszczycone, gdy wolno im jeść chleb jej psów...

Gdy jest szczęśliwa i reszta świata jest szczęśliwa...

Ale gdy cierpi — wtedy sam Bóg cierpi, wtedy Sam Bóg straszliwy kona za całą ziemię, okrytą krwawym potem".

A przecież Leon Bloy nie był nigdy chory na narodową megalomanię. Był człowiekiem, który wyrósł niewiadomo skąd. Urodzony w 1846 r. rozpoczął karierę życiową jako mały urzędniczek — kiepski zresztą urzędnik, bo nigdy sprawy urzędu nie tkwiły mu w głowie. Prędko uświadomił sobie, że posiada ogromny, rozsadzający go talent. Talent walki. Weźmy Majdańskiego z jego temperamentem, dodajmy mu, trzy, cztery razy więcej dynamiki niż posiada, stwórzmy artystę o niebywałej jasności wzroku, a jednocześnie człowieka, który się nie cofa przed niczym, który rżnie każdemu prawdę w oczy i to w sposób tak brutalny, że chyba to porównać można tylko z publicystyką Nowaczyńskiego, dajmy temu człowiekowi żarliwą wiarę pierwszych chrześcijan, a jednocześnie dumną wiarę szlachcica, odbierzmy mu wszystko w życiu, aby mógł wszystkie swe pasje zestrzelić w jedno, a wreszcie dajmu mu długie chwile przymusowego milczenia, by wtedy gdy pisze, wybuchał tłumioną burzą całych miesięcy milczenia — zbierzmy to wszystko w jedno, a będziemy mieli Leona Bloy.

Bloy nazywa siebie „maszyną", która mogła służyć walce o katolicyzm. Pisarz posiadał pełną świadomość rozrywającej go dynamiki. Tylko, że katolicyzm francuski owej doby bomb atomowych o potwornej sile wcale nie był spragniony. Katolicyzm był „letni" — to znaczy tolerancyjny, nieprzesadzony, schlebiający możnym, typowy katolicyzm „dobrze myślących". Burżujski katolicyzm! Stać go było na organizowanie dobroczynnych kiermaszów, na których występowała najbogatsza societa Paryża, emablowana przez najmodniejszych proboszczów, by za cenę rewii mody i przeglądu klejnotów zebrać na tacę dla biednych stolicy świata — kilkaset franków. Gdy jeden z tych kiermaszów spłonął, pociągając za sobą liczne ofiary, Bloy wydał okrzyk, godny zawołań proroków starotestamentowych: „nareszcie!" a potem napisał: „czytając wiadomość o tym wypadku odczułem ulgę i radość; zdawało mi się, że wielki ciężar spadł mi z serca. Tylko mała liczba ofiar zmniejszała mój zachwyt." Parę wierszy dalej: „czekajcie tylko, a nadejdą niedługo nowe katastrofy. Stokroć straszniejsze niż pożar niegodziwego kiermaszu. Nadchodzi koniec i światu grozi zagłada bliższa niż kiedykolwiek..".

Jest ktoś, kogo Bloy nienawidzi z całego serca — nienawidzi burżuja. Burżuj nie jest człowiekiem. To „taka świnia, która chciałaby umrzeć ze starości". Burżuj nie znosi świętości, bo nie znosi wielkości. „Burżuj" Bloy'a to to samo, co „homme médiocre" u Hello. Tylko, że Hello był filozofem, żyjącym w zapomnieniu, terroryzowany przez małomieszczańską żonę, ale za to w dostatku, więc widział przeciwników jedynie na płaszczyźnie dysputy filozoficznej. Bloy jest natomiast nędzarzem, którego życie dławi, więc widzi przeciwników blisko siebie. Wie, że burżuj potrafi być katolikiem. I owszem. Zależy mu bowiem na pozorach. Pragnie być pochowany przez księdza i chce z księdzem na łożu śmierci porozmawiać o interesach. Któryś „z oświeconych" we Francji, czy nie sam Voltaire, powiedział: religia jest dla mnie nie potrzebna, ale potrzebna jest dla mego lokaja. Dlatego też Bloy zdaje sobie doskonale z tego sprawę, że katolicyzm burżujów świata nie zbawi. Nie zbawią go także duszpasterze, schlebiający bogatym. Trzeba dotrzeć do człowieka.

Jako dwudziestokilkoletni młody człowiek Bloy spotyka prostytutkę (Annę Marię Roulé). Opisze później całą tę awanturę w „Désespéré". Owa „Weronika" jest dziewczyną prostą, młodą, piękną, ale już stoczoną przez grzech. Bloy wyrywa ją z bagna, sam umiera z głodu, ale swymi głodowymi zarobkami dzieli się z Weroniką. Mało tego: wprzęga ją w jarzmo swego żarliwego życia religijnego, modli się razem z nią, prowadzi ją do kościoła, pokazuje cuda liturgiki i myśli katolickiej. Dawka mocna, za mocna. Skrzywione życie dziewczyny nie dało się — mimo miłości do Leona — na nowo odprostować. Szalona próba skończyła się szaleństwem Weroniki. Bloy zgubił jej ciało i umysł, ale uratował duszę.

Bo ta dziewczyna z domu publicznego staje się pod jego wpływem człowiekiem przez duże C. Trzeba ją podziwiać. Nie ona jedna. Bloy ma dar wydobywania ludzi z niewiary, budzenia płomiennej żarliwości. Ma przez siebie nawróconych w Danii i w Szwecji. Jakiś ksiądz z dalekich Moraw pisze przez lata całe do Bloy'a listy pełne zachwytu — krótkie liściki pisane w jedynym im wspólnie znanym języku — po łacinie.

Kiedy Bloy zaczął pisać — wyznaje — spotkały go początkowo rzęsiste oklaski. Świat sztuki odczuł tę przeogromną siłę — geniusz, — który wstępował w szranki. Ale szybko zorientowano się w charakterze pisarza. Przeciwnicy odrazu na jego temat umilkli. Wobec artysty istnieje zawsze zabójcza broń — milczenie. Nie widziano jego książek, celowo nie pisano o nich recenzji. Doradzano mu, aby rzucił pisaninę, aby się wziął znowu za „urzędniczenie".

Bloy wyczuł podstęp. Zaciął się i pisał dalej. Był głodny, zmarznięty — jego rodzina żyła w nędzy. Dwóch jego ukochanych synów zmarło w krótkim odstępie czasu jeden po drugim — tylko na skutek braku środków na pomoc dla nich. Bloy nie mówił o nich nigdy inaczej, jak o zamordowanych.

Przeciwnicy chcieli go zmusić do zamilknięcia i to było z ich strony świadomą robotą. Lecz cóż zrobił świat katolicki, by umożliwić życie i tworzenie tej mary pisarzowi?

Nic!

Pomagali mu ci i owi, ale oficjalne sfery katolickie były dla człowieka, który mógł być heroldem katolicyzmu, więcej niż obojętne. Był to przecież tylko świat

„dobrze myślących", kultywujących swe dobre myślenie bez chęci życia wiarą.

Jeszcze w książkach Bernanosa — w „L'imposture" — odezwie się — echo tych czasów — sylwetką księdza Cénabre, — artystyczne wcielenie ulubieńca „kulturalnej" Francji abbé H. Bremonda — tak bardzo nieszkodliwego w swym katolicyzmie. Ci prałaci, o białych rękach, politycy i masoni, ci kanonicy, tędzy, zażywni, ferujący wyroki w sprawach, o których nie mają pojęcia, skąpi bardziej niż molierowski Harpagon (kto wie, czy ortodoksyjny Moliere nie z ich grona czerpał swe obserwacje?), wyrzucający swym owieczkom, że nie żyją za „Bóg zapłać", dostojnicy poddrzemujący w swych fotelach i jednego się tylko lękający, by przypadkiem nie kazano im działać i narażać się — ci wszyscy patrzyli na Bloy jak na niebezpiecznego szaleńca. Nie zależało im wcale na tym, aby autor „La femme pauvre" dalej pisał. Mieli dość utrapienia z księżmi, jak ks. Dupanloup, którzy nie chcieli być malowanymi duszpasterzami. W świecie sztuki doceniali tylko dwa typy pożądanych artystów katolików: — „chłopca z zakrystii" — ckliwą, opływającą sentymentami postać, fabrykanta „czystej wody", albo uznanego przez świat sztuki Konwertytę...

Katolicyzm szuka zawsze zagubionych owieczek i zawsze daje pierwszeństwo powracającemu synowi marnotrawnemu — bo zna cenę uratowanej duszy. Ale taki zamarły katolicyzm poluje tylko na nawróconych „wielkich" ludzi. Niewielu zależało w tym czasie we Francji, czy się nawróci jakiś tam Lapin, robotnik tkacki, czy Malin, mały sklepikarz. Ale cóż to za radość, gdy się nawrócił taki Huysmans czy Coppée! Nie jest wtedy nawet ważne, czy się taki pisarz naprawdę nawrócił. Wystarczy, że zadeklaruje swą przynależność do wierzących, bąknie jedno czy drugie słówko o metafizyce o uczuciach religijnych, o Bogu. Ba, po takim oświadczeniu może już pisać, co mu się żywnie podoba, choćby znowu to samo co przedtem. Będzie już mimo to pisarzem katolickim!

„Kto to jest taki skatolog? — zapytuje Bloy. — To pisarz, który się „nie sprzedaje". Autor, którego książki „biją" w 100 tys. egzemplarzy, nie jest nigdy „skatologiem".

Coppée swą osławioną „Bonne souffrance" kończy dwuwierszem:

„Rzuca polano na ogień,
moja matka — „błogosławiona między niewiastami..."

Powiada na to Bloy:

„Wiemy, że w czasach komuny Kościół Matki Bożej Zwycięskiej został opanowany przez bandę łotrów i sprofanowany... Jakaś obywatelka wspięła się na ołtarz Niepokalanej i z wdziękiem wypinała tyłek do mas.

Wielbiciele „Bonne souffrance" będą może osłupieni, gdy nie powiem, że ten gest historyczny w perspektywie absolutnej nie bardzo się różni od przytoczonych wierszy...".

(„Les dernieres colonnes de l'Eglise").

Dla Bloy jest rzeczą najzupełniej zrozumiałą, że świat burżujów nie zna się i nie może pojąć sztuki. On jej przede wszystkim nienawidzi:

„Katolicy współcześni nienawidzą sztuki w sposób dziki, okrutny i niepojęty... Gdzie indziej jest to po prostu nienawiść do piękna; lecz u katolików mamy do czynienia z obrzydzeniem. Można by powiedzieć, że dusze letnie, porzuciwszy heroizm swych przodków, dla cnót rozsądnych i umitygowanych, które zdaniem dopasowujących się do sytuacji pasterzy, są wystarczające, zastąpiły w ten sposób przestarzałą nienawiść do zła przez wstręt do tego zwierciadła ich nędzy, natrętnie wpychanego im przed oczy przez wielbicieli ideału. Gniewają się tedy na piękno, jak na pokusę, jak na sam grzech, a odwaga geniusza budzi w nich zgrozę, podobną do tej, która musi obudzić gest Lucyfera".

(„Un brelan d'excommuniés").

Stanowisko Bloy jest stanowiskiem, od którego trzeba liczyć zwrot, jaki się dokonał w katolicyźmie francuskim. Abstrahując od osobistej nędzy, w jakiej tkwił pisarz przez całe życie, abstrahując od egotyzmu, który u genialnego samotnika nabrał cech niepokojących, Bloy dotyka rozpalonym żelazem społecznego podłoża religii. Ten człowiek nie wie, co to jest w tej materii tolerancja, zresztą tolerancyjnym nigdy nie był. Przedstawił mu się kiedyś pewien nieznajomy: „jestem taki a taki, ateista i materialista". „Ach tak — zawołał Bloy — bardzo się cieszę, że wiem z góry, że mam przed sobą głupca". Kiedy indziej zapytano go, jak powinien wyglądać ustrój społeczny we Francji. „Trzeba przede wszystkim powiesić Zolę i Renana — odparł Bloy — i nakazać wszystkim, by pod karą plag spowiadali się co dwa tygodnie!".

Ale wobec bogaczy zawziętość Bloy przekracza wszelkie granice. Wie on zresztą dobrze, że właściwie ponosi go gniew i nienawiść i że nie są to uczucia chrześcijańskie. Ale autor „Leon Bloy devant les cochons" ma na to następującą odpowiedź: Być może — pisze — na sądzie ostatecznym zjawi się grzesznik tak nędzny i grzechami obciążony, że wszyscy się odeń odwrócą. Być może nie będzie dla tego człowieka usprawiedliwionego czymkolwiek miłosierdzia. Ale kto wie, czy ten człowiek nie zawoła w obliczu potępiającego go sądu: „Apeluję do Twego prawa, do Twej chwały!".

(„Un bretan d'excommuniés").

I kto wie, czy ten człowiek nie modli się słowami:

„Uczynię to wszystko, mimo, że Ty tego nie chcesz, ponieważ Twoja chwała popycha mnie bardziej, niż Twe chwalebne cierpienie i gdy Cię opuszczę, by dla Ciebie podbić świat — nic już nie będziesz mógł mi odmówić".

(„Mendiant ingrat").

Dla Bloy stosunek do nędzy jest symbolem stosunku do człowieka. Nie ma chrześcijaństwa tam, gdzie nędza jest zrównana ze zbrodnią! Katolicyzm, który nie ma swego oblicza społecznego, nie jest katolicyzmem! Świat katolików często wyobraża sobie, że jałmużna jest tym tylko, czego się od katolika wymaga. Do licha! Tani byłby katolicyzm, gdyby złotówka wepchnięta w garść żebraka, miała wszystko załatwić. Chrześcijaństwo było tam, gdzie król całował trędowatego, obmywał kaleki, gdzie osobiście karmił chorych. To było miłosierdzie, a nie filantropia. Usmarkać się w filantropie! Usmarkać się z jałmużną „na odczepnego"!

Gdyby nie ta miażdżąca filozofia Bloy'a nie byłoby „Jean Costa", K. Peguy, nie byłoby „La misére et nous" H. Daniel-Ropsa, nie byłoby może także ks. Cardijn, założyciela JOC'u.

Gdyby nie Bloy, nie byłoby katolicyzmu J. Maritain. Kiedy Bloy pierwszy raz poznał młodego wówczas Maritaina i jego żonę, zapisał lakonicznie w swoim dzienniku:

„młody człowiek, jeden z tych idealistów, którzy nie znają Boga, którzy jednak pozwalają się wlec za włosy, czy za nogi po schodach ku światłu. Młoda, niska kobieta jest rosyjską Żydówką".

(„Mon Journal").

A w parę lat potem był ojcem chrzestnym Jakuba i Raissy, on, autor „Salut par les Juifs", a jednocześnie tak często, piszący słowa, mogące uchodzić za najkrwawszy antysemityzm.

Od Bloy, powtarzam, należało by liczyć epokę odradzającego się we Francji katolicyzmu. Rzecz szczególna, że jego chrześniak i uczeń Maritain najmniej ma w swojej twórczości z prawdziwego Bloy. Humanizm integralny był u Bloy, a nie gdzie indziej. To Bloy postawił sprawę stosunku człowieka, stosunku do biednego, jako kamień probierczy stosunku do religii. Maritain sprawę steoretyzował, zaciemnił, przeniósł na płaszczyznę rozważań schematyczno-strukturalnych. Maritain mówi o ubóstwie, Bloy czuje ubóstwo. Maritain głosi augustiańską zasadę: „kochaj i rób co chcesz!", Bloy był całe swe życie wcieleniem tej zasady, a Maritain, choć jest profesorem uniwersytetu katolickiego, zabiega o uznanie i u Gide'a, i u Thoreza, Bloy żył zasadą, że „człowiek, który ma przed sobą wszystkich, zwłaszcza swych najlepszych przyjaciół, jest chyba bliższy prawdy niż inni".

Pisać o Bloy można by bez końca.. Urodzony przed stoma laty pisarz jest wciąż aktualny i wciąż będzie aktualny w środowiskach katolickich. Aktualny — samym sobą. Zresztą w twórczości Bloy, czy to będzie bohater „Desesperé" Cain Marchenoir, czy sam pisarz w swych ciekawych, jak najciekawsza powieść, pamiętnikach — zawsze mamy przed sobą Leona Bloy. Słusznie napisał w przedsłowiu do wyboru swych pism:

„Wymaga się ode mnie tego, czego się nie wymaga od nikogo innego: żąda się, abym pisał zawsze o Leonie Bloy. Dzień, w którym napiszę o Bourgecie, czy o France'u, będzie uważany za dzień mego końca".

Lecz właśnie w postaci Bloy zawiera się najbardziej pasjonujący problem. Kim ma być pisarz? Czym ma być sztuka? Jaki ma być ich stosunek wobec religii?

Religia — religia chrześcijańska — i sztuka, są ze sobą w wojnie. Pisze Bloy:

„Jestem artystą, poetą i dlatego wrogiem norm, głoszonych przez Twoich pasterzy". I dalej: „Sztuka jest pasożytem, urodzonym ze skóry pierwszego węża! Dlatego posiada dumę i siłę sugestywną. Wystarcza sama sobie, jakby była Bogiem... Uchyla się zarówno od adoracji, jak i od posłuszeństwa i wola człowieka nie doprowadzi jej nigdy do ołtarza. Najwyżej może ofiarować coś ze swego nadmiaru świątyniom i pałacom...".

(„Un brelan d'excommuniés").

Cóż to znaczy? Oznacza to, że artysta musi być swemu dziełu naprawdę oddany. Sztuka „fabrykantów czystej wody" nie jest żadną sztuką. Sztuka robiona na użytek — jakgdyby powiedział Unamuno „demagogiczny" — nie jest sztuką. Sztuka musi być sobą, aby była prawdziwa.

Jest to jej obciążeniem, a zarazem wielkością. Artysta nie chodzi w szeregu. Jest harcownikiem na przedpolu, wolnym strzelcem, partyzantem, nosi rozkaz twórczy i zamiar twórczy w sobie samym. Nawet służenie Bożej Prawdzie nie może się u artysty dokonywać drogą zwykłą. Pisarza upaja „nard" sławy, a może raczej tego czegoś, co jest droższe nad sławę: nard radości twórczej. Pisarz musi tworzyć, zaś tworząc musi żyć szeroko, bujnie, a więc i buntowniczo. Nie ma bowiem życia bez prawa buntu wobec jakichkolwiek oków.

Powiada Bloy: „Ponieważ okazuje się, że dusze najdoskonalsze, najbardziej zdolne do obmycia skrwawionych Stóp Chrystusa, są jednocześnie żebrakami tego nardu profanów, czy nie trzeba stąd wynieść, że dokonała się jakaś niebieska awantura, która usprawiedliwia antychrześcijańskie oblicze sztuki i uświęca ją?".

Było by może rzeczą zbyt prostą, aby każdy artysta tłumaczył sobie wszystko „niebieską awanturą" i w imię tego niezrozumiałego zjawiska wyrzekał się obowiązku uzgadniania sztuki z wiarą. Stwarzanie tego rodzaju precedensów tworzyło heretyków — i to trzeba wyznać: łatwy jest skok od Bloy do Pascala, od Pascala do Lutra.

Ale tu przychodzi na pomoc inny nieokiełznany artysta, pełen niemniejszego niż Bloy rozmachu: Aureliusz Augustinus z Thagasty — ze swą zasadą: kochaj i rób co chcesz. Zasada ta była wielokrotnie nadużywana i można by te nadużycia wypowiedzieć parafrazując zasadę: kochaj siebie i rób co chcesz. U św. Augustyna jednak „kochaj" nie oznacza ani egoizmu, ani egotyzmu. „Kochaj" oznacza to, co oznaczać powinno: miłość, caritas (a nie amor).

Jan Bolesław Ożóg

Zwrot

Sztandar zaklęty w dumnym rymie,
Nike z batalii — na lawecie
i w piersi bite wielkie imię,
jak profil wodza na monecie.

Rzeczpospolita z krwi i bomb,
nowa, w bój chrzczona i wichurę,
w srebrzystej grzywie groźnych trąb,
jak chytry wąż, gdy zmienił skórę.

Bloy, wygniatający kolanami dziury w posadzkach kościołów, Bloy wylewający strumienie najszczerszych łez wśród niekończących się modlitw, Bloy przeklinający i mieszający z błotem przeciwników, by się zaraz potem za nich ukorzyć i za nich modlić, Bloy przede wszystkim ze swą miłością do ubogiego i z niepohamowaną niczym wolą zmiażdżenia „burżuazji" — jako tego, co rozkłada i kompromituje chrześcijaństwo, odbierając mu jego treść społeczną. Bloy wreszcie, dotykany najboleśniejszymi doświadczeniami, jakie dotknąć mogą człowieka, a mimo to, aż do końca swego tragicznego żywota niezłamany, urasta na symbol człowieka kochającego. Skoro mamy mówić o kochaniu — to to jest właśnie kochanie. Nie ma tu nic z popędu. Bloy nienawidzi zła, lecz zmusza się do miłości do ludzi. Kocha wbrew sobie, wbrew swej krzywdzie, wbrew swemu instynktowi. Ludzie drażnią tego indywidualistę, mimo to on nie przestaje walczyć dla ludzi. Świat letniego katolicyzmu okazał mu swą obojętność i pogardę. A on wbrew temu światu ofiarował wszystko katolicyzmowi, przeorał glebę, z której wyrósł największy katolicki współczesny poeta, autor „Jeune fille Violaine" i "Jeanne d'Arc au Bûcher" — Paweł Claudel.

Nie bez goryczy powiada Bloy: „Kler francuski nie lubi świętych i apostołów. Ceni tylko tych, którzy oddawna zmarli i rozsypali się w proch". W tych słowach brzmi prawda, odnosząca się nie tylko do kleru i nie tylko do katolików francuskich. Świat ludzi letnich zawsze będzie nienawidził wielkości. Wielkość bowiem burzy i zmusza do budowania, to zaś się nie podoba leniom i wygodnisiom. Wielkości nie wystarcza ideał tego, co już było i żałosna walka w obronie utraconych pozycji. Wielkość szuka nowych form, bo wie, że najdobitniejszym powierdzeniem prawdy wiecznej jest jej umiejętność wciąż się wlewania w nowe formy. Lecz tylko katolicyzm stać na postawę naprawdę i konsekwentnie aż do końca rewolucyjną, tylko katolicyzm potrafi od tysięcy lat odbudowywać na nowo powierzoną sobie niezmiennie treść w czasoprzestrzennych formach. Wielkość jest więc przejawem katolicyzmu i nazywa się świętością.

Znaleźć wielkość, która jest jednocześnie świętością, a przynajmniej drogą do świętości, to jedyna możliwość odkrycia tajemnicy „niebieskiej awantury". I to także jedyna możliwość odkrycia umiejętności maszerowania **przed** tłumem, a jednocześnie maszerowania zgodnie z rozkazem.

Powiada H. Joly („Psychologie des Saints"): „Ewangelia opowiada, że św. Jan biegnąc prędzej niż św. Piotr do grobu Jezusa, przybył pierwszy i zajrzał do wnętrza. Nie wszedł jednak do grobu, zanim nie nadbiegł Piotr. Teologowie widzą w tym zdarzeniu symbol tego, co się zwykle dzieje w kościele: wszyscy wielcy, święci, założyciele, lub reformatorowie, wyprzedzali papieża swojej epoki. Nie oczekiwali od niego inicjatywy, a jedynie ostatecznego zatwierdzenia i poświęcenia ich wysiłków".

Nie chcę twierdzić, że Bloy był świętym. Z tego, co pisał, wyziera ku nam bardzo po ludzku ułomny, gorący i pełen namiętności człowiek. Lecz był wielkim talentem i był żarliwym katolikiem. Był harcownikiem swojej sprawy — sprawy uspołecznionego — nawet w kulturze i przede wszystkim w kulturze! — katolicyzmu. Dziś właśnie jemu, gdy od trzydziestu lat nie żyje, zawdzięcza Francja swoje odrodzenie religijne.

Jan Dobraczyński

REDAKCJA TYGODNIKA „DZIŚ I JUTRO"
składa wyrazy czci i synowskiego poddania
J. Em. Ks. Kardynałowi Adamowi Sapieże
z okazji otrzymania kapelusza kardynalskiego z rąk
Ojca Świętego Piusa XII
oraz
J. E. Ks. Arcybiskupowi Antoniemu Szlagowskiemu
z okazji otrzymania godności Arcybiskupa tyt. Kotieńskiego.

Aleksander Rymkiewicz

SIEDEM DNI

(poemat)

I.

Dziś powiedziałeś: „już niedługo umrę".
— Stanąłem w grozę słów tych zasłuchany.
Oczy powoli zwróciłem do ściany,
— a wtedy, wtedy ten surowy wieczór,
ujrzałem, wstaje jak ogromny człowiek
i ciężką ręką aż na niebo włada
i kawki pędzi i gdzieś w siecie łowi
nad naszym domem stada, stada, stada.

Już więcej dzisiaj nie mówiłeś wcale,
tylkośmy trwali na progu tej ciszy.
Wiatr szarpnął oknem i te kawki zdala,
jak dzwon wieczorny pod chmurami wiszą.
— I nie wiem odtąd co mnie wstrząsa więcej:
dzwony cmentarne, czy kawki, gdy jęczą.

II.

Noc przyszła wielka i ciemna na dole,
bramy zamknięto z hukiem ciężkich krat,
miasto ucichło, tylko gdzieś patrole
krążyły i w ciemność powtarzały: halt.

Widziałem, że nie śpisz — pewnie dzisiaj znowu
oczy zwróciłeś do szczerniałych szyb,
drzwiczki u płotu trzaskały na wietrze
i znów ta cisza i siennika skrzyp.

Spojrzałem w okno — hen w lodowych chmurach
wiatr rąbie studnię, jak północny drwal
i w osypisko oszronione górą
wbija siekierą księżycowy pal.

„Słuchaj — szepnąłeś — to nie miesiąc błyska,
a jeśli i miesiąc spada blaskiem w dół,
tu rowy widzę, tu pobojowisko,
rozbite auta, szprychy jakichś kół.

„Słyszysz — pytałeś — tam pod lasem zdala,
gdzie kwitł wrześniowy, fioletowy wrzos,
ktoś jeszcze leży, tam był rów kaprala,
czekaj, poznaję — to mój własny głos.

„Dlaczego zwlekasz? — a ja wody proszę
i szarpię trawy, gryzę chłodny liść,
tu są bandaże, czekaj, znajdę nosze,
nie ma, więc chyba i bez noszy idź.

„Ty jeszcze stoisz, a mnie rany bolą,
— pośpiesz, nie znajdziesz, bo już księżyc znikł".
Upadłeś na wznak — tylko gdzieś patrole
i znów ta cisza i siennika skrzyp.

III.

Mróz, ziemia twarda: świta już nisko.
Zapadłeś nad ranem wyczerpany w sen.
Olbrzymia wojna piorunami błyska,
aż po rosyjskich borów mroźny cień.

Bezśnieżna zima wozem ucieka,
a wiatr woźnica konie lodem tnie
i krą szeleści pociemniała rzeka,
usiadła wrona i płynie na krze.

Świta: rzeka miejskie ścieki otwiera
i kra podpływa pod wysoki brzeg.
Z krzykiem porywa się wrona za żerem,
spada przed rurą, dobroczynny ściek.

Drewniane domki płoty nisko wiodą,
zimowy brodacz, sopel, z płotu zwisł,
samotnie wrona chodząca nad wodą
stanęła, słucha: gdzieś pociągu gwizd.

Idą transporty na dalekie boje,
od strony dworca torów głuchy huk,
a dzień za miastem konie już napoił,
na niebo ciągnie oszroniony pług.

Ty śpisz zmęczony. — W hełmie wódz daleki
dziś obce pułki granatami darł.
— Żeruje wrona, rzeką kra ucieka,
motorów ciężkich pod chmurami gwar.

W pobliskiej wiosce, błysły mroźne zorze,
konie zaprzęga do hołobli chłop.
— „Przysłali papier, że do miasta zboże
— niech, może lżejszy będzie przyszły rok.

„Kazali żyto, psia, bezśnieżna pora,
człowiek powiezie — cóż? — rad czy nie rad.
Ciągnij kobyłko, ciebie nie zabiorą.
Tfu! — wojna, mówię, chłopu nie brat".

— — — — — — — — — — — —

IV.

Dzień jasny wszedł do domów szerokim, ludzkim gwarem,
na schodach stuk, pod płytą płonącej trzask osiny,
za ścianą u sąsiadów zagwizdał już kanarek,
tak słodki kłamca w klatce sam siebie w łzach zaklina:
jest zima, a kanarek upewnia — pachnie mięta;
jest wojna, a kanarek o wojnie nie pamięta.

Przed oknem miejska lipa okryta lekkim szronem,
swą gałąź wyciągnęła, jak ramię gałąź
— w rodzinnym kraju człowiek przez wojnę zagubiony
wszedł w drzewo w błyskach prochu—sam siebie w drzewie zakuł.

Kanarek słodko wabi, a potem znów się gniewa,
że człowiek już nie wyjdzie z pnia lipowego drzewa.

Znów późno się zbudziłeś, a w oczach twych leżała
myśl ciężka i jedyna, jak wierny pies człowieka.
Co nocy myśl waruje i strzeże senne ciało,
a rano myśl już dawno na pana swego czeka.
— Szepnąłeś: „licz, dwa lata już leżę wśród bandaży
we dwoje ze swą śmiercią, kochanką, twarz przy twarzy.

„Nim w lasku mnie podnieśli, gdy strzelać już przestali,
dokoła była cisza, a nagle: ćwierk — sikorka
w pobliżu jak kanarek — na brzózce — tak — nie dalej
skoczyła na gałązkę sikorka, ta sikorka
i listek nóżką zgięła i patrzy, znów się dziwi,
że wszyscy tacy młodzi i wszyscy już nieżywi.

„I pojąć nic nie może, bo dziwne ludzkie dzieło,
być może wóz ciągnęli, a może ziemia grzązka,
— a nagle zrozumiała i z krzykiem odfrunęła
i chwiała się i chwiała to w dół, to w lot gałązka,
szedł zapach świeżej ziemi i wrzosy i ta cisza,
a dzisiaj ty kanarka, a ja sikorkę słyszę".

V.

„Wieczór po pustych polach liściem zmarzniętym hula
i spada z łoskotem skrzydeł na czuby chwiejących się jedlin,
— tak mówić zacząłeś wieczorem — podróżna się w chusty otula,
przychodzi na puste miejsce, gdzie było polskie osiedle,
jabłonie napół spalone, chusty swe nisko zgina
i grzebie kijem po węglach i pisze: ruina, ruina.

„Co wieczór przychodzi aż tutaj tą samą bezludną dróżką,
którą ni zając, ni lis za tropem już nie przebiega.
Ej, jakże mam ciebie nazywać, czy obłąkaną Józką?
Przed laty Józka w tych stronach, gdy zmrok, szukała noclegu.
Pytali ludzie: a kto tam? — I psów szczekanie się darło,
chodziła po prośbie Józka, ale ta Józka umarła.

„Nie wiem kim jesteś, nie pytam gdzieś zostawiła wnuków,
wiem tylko, że błądzisz od dni pamiętnej jesieni tak samo.
Może wnuk nie powrócił — daremnie go dzisiaj szukasz,
ożenił się wnuk młodziutko — mogiłę wziął jako wiano.
Usiadłaś na progu spalonym, a gwiazdy szepnęły co wiszą:
usiadła na naszej ławeczce i pisze i pisze i pisze.

„Jakie powieści układasz, ty moja, ty dziwna — Niejózka?
Może, że Polska po wojnie będzie nam szumieć i szumieć.
— Druty na słupach przy szosie, chłop wiezie zboże na wózku
i kiwa głową i mówi, że taką Polskę rozumie.
Wspomnienie żołnierskie śmieszy dziewczynę błękitną i wiotką,
gdy jeden mazur do kraju powrócił ze starą Szkotką?

„Późno, zmęczony jestem, ciemno, przeczytać nie mogę.
Niechaj spienione konie księżyc na niebo wyniosą.
— Znów pisze i pisze i pisze — i zrywa się we mnie trwoga,
łomoce do jakichś okien i psy gdzieś dalekie płoszy.
Księżyca nie ma, wiatr tylko podnosi swe czarne wiosła,
zerwała się, chusty zgarnia Niejózka — i poszła i poszła".

VI.

Uspokój się Janku, uspokój,
— chwyciłem twe chude dłonie —
światło zapalę na chwilę
i okna, okna zasłonię.

Dyszałeś leżąc na boku.
Janku, Niejózka tu nie szła,
tu ściany, Janku, spójrz: pokój,
stół prosty i szafa i krzesła.

Obyś już zasnął i nie czuł,
gdy wiatr za oknem się miota,
gdy miasto ciemne co wieczór
złowrogo czeka nalotu.

Zegary nocne powoli
suną — znów cisza, skrzyp łóżka,
twój szept półsenny i senny:
„Niejózka, Niejózka, Niejózka".

VII.

Trzeciego dnia chmury śmigały jak wiatraki,
na skrzydłach ich wysoki wiatr wyciąga śnieżne nuty.
Dnia tego miałeś oczy w kuźni klęsk wykute,
bo jest pod wielkim niebem boska kuźnia taka.

Pamiętam twoje słowa i te chmury w biegu:
„Już na mnie czas, już czas na rozgrzeszenie księdza,
tak dzień rachunku życia goryczy nie oszczędza
i sądu nad sądami" — mówiłeś dnia trzeciego.

„Nie zaszczepili we mnie wiary w Apostołów,
a zapomnieć na zawsze nie śmiałem o Bogu".
— Od chmur padało światło blade na podłogę
i ono ze mną ciebie słuchało pospołu.

„Od świętej Mszy, gdy pod organów żagle, aż do nieba płynie,
niepomny wzroku zmarłych ze starych malowideł,
uciekałem radosny w dym leśnych kadzideł,
bo pocóż chłopcu myśleć o śmierci godzinie.

„W kościółku, w zapadłym kraju pamiętam tłum prostaczy,
zapach wiosennych kwiatów, i huk śpiewu: Panie.
— a dziś do mego łoża podpływa jakieś granie,
może to straszną falą głos organów wraca.

„Tragiczny kraj i ludzie, którzy rządzą krajem,
gdy patrzą na uśpioną u nóg swoich władzę
i zapomną o Boku ledwie chrzest rozdadzą.
— Tragiczny ten postokroć, kto w pół drogi staje.

„Bezmiernym przerażeniem w uszach moich dudnią
słowa, że Kościół prawy jest ziemskim narzędziem
walk o władzę. — Stanąłem myślą na krawędzi,
ale dzisiaj mi ustać o ileż jest trudniej.

„Pisali grube księgi z długim argumentem,
że ziemia nas wydała i wrócimy w ziemię,
że w ludziach ślepa siła rozrodczości drzemie.
— Księgi gdzieś pogubiłem, dowodów nie pamiętam".

Umilkłeś, zapach lekarstw rozchodził się w pokoju,
a ja siedziałem w echo myśli zasłuchany,
światło, drugi słuchacz, przeszło z podłogi na ścianę
— i usłyszałem jak cisza sypie ziarnka swoje.

Mijały ciężkie chwile, a już wczesny wieczór
śmiganiem chmur godziny odchodzące mierzy
i na domki przedmieścia, spójrz, ciemnością śnieży
i klasztor w zmrok odchodzi i niknie Zarzecze.

Uniosłeś się na łóżku ciężkim chorym ruchem,
a oczy rozszerzone błysnęły tak z pod powiek,
jakby nie twoje były, jakby inny człowiek
spojrzał — a ty pytałeś: „Czy słuchasz mnie, słuchasz?"

„Oto już nigdy łąk nie dotkną moje nogi,
ani ręce nie ujmą narzędzi, przyjacielu,
i trwoga tylko we mnie swoje gniazdo ściele
i nie ma nic już we mnie, prócz pazurów trwogi.

„I nie wiem, nie wiem dzisiaj, czym trwogę uśmierzę,
gdy strumieniem straszliwym gorycz serce płucze.
— Widzisz to światło na ścianie, ono głowę tłucze
z żalu za mną, że dzisiaj i dzisiaj nie wierzę.

„Bo jakże sprostać mam — tu ewangelie leżą,
a pył wojenny bluźniąc okrywa księgi święte
i człowiek nam współczesny omija je nietknięte
—i ja jak tamci żyłem, jak tamci też nie wierzę

„Społecznej krzywdy głos o nieba dzwon uderza.
Spójrz: stryczki splata tłum, pod szubienicą wrzawa.
a nędzarz los przeklina i pada martwo w trawę
i ja syn prawy czasów z nim razem dziś nie wierzę.

„Och, nie patrz na mnie tak — człowiekiem tylko jestem,
w tysiącach miast wysoki mur z kamienic pada,
kobiecy głos w piwnicy nad dzieciątkiem biada".
— Przestań, prosiłem, Janku, przestań, mówić przestań.

A ciebie straszne słowa, jak konie, poniosły:
„Ciągnie się droga dziejów — pył ją pokrywa,
idą tą drogą pycha, morderstwo i chciwość,
trzy kochanki ludzkości i trzy wierne siostry.

„W cóż mam wierzyć — że pijani zabijają płody,
i że za srebrniki kraj sprzedadzą własny,
— w to wierzyć? I dlatego tak mi dzisiaj straszno".
— Umilkłeś, syczał ciężko twój zmęczony oddech.

„Chryste — zacząłeś się modlić — Chryste Nazareński,
usłysz mnie, ucisz mnie, oto ja grzeszny
i niewierzący tlę jeszcze przykuty do łoża.
Ty wybaczysz Ogromny, Miłosierny Boże.

„Nie doświadczyłem za życia Twej nieziemskiej łaski,
niegodny pewnie byłem, szedłem — nogom piaski
przeszkadzały, a może zapomniane winy,
Chryste, Wszechmocny Boże i Człowieczy Synu.

„Zapomniałem słów, które kołyszą Ciebie w dymie
w Królestwie, a to Królestwo nie z tego jest świata,
bo gdzież jest taka róża, co tron Twój oplata,
bo gdzież jest chór, co śpiewa — święć się Twoje Imię.

„Słuchałem huku armat i słuchały lasy,
przewalały się armie i żelaza masy,
i nie pojąłem wtedy, leżący na polu,
słów: niech się spełni Twoja Wola.

„Jakieś winy ogromne ze mną dzisiaj leżą
i przypominam: śniegi dawnych zim znów śnieżą,
wtedy nie wiedziała pierś, co jeszcze dziś oddycha:
tam przyjdzie Twoja Chwała, gdzie się skończy pycha.

„Prawo narodów święte grzeszni mówili,
prawo zaś utwierdzały granatów miotacze,
a przed tronem Twoim jeden anioł płacze,
że człowieka w mundurze niewinnie zabili.

„Nieodgadnionyś ty Boże, niezmierzona Twa Chwała,
chmura z aniołów do Twych Nóg powiała,
trąby zagrały — oto ja niewierzący,
oto ja grzeszny opowiadam się przed Dłonią Wszechmogącą.

„Nie miej bogów cudzych przede Mną,
przed prawdziwą Wiarą,
— tak nakazałeś, ale wiek zagłuszył,
że bogiem jest naród.

„Nie wzywaj Imienia Mego nadaremnie,
głos Twój uderza,
a myśmy prosili, abyś błogosławił
bagnet żołnierza.

„Pamiętaj człowieku, abyś po wiek wieków
święcił Me Imię.
— I pochwaliliśmy Boga na ziemi
w armatnim dymie.

„Czcij swoich ojców i zrozum ich pracę,
— taka Twa Wola.
— Ojcowie umarli, jakże im wybaczyć
naszą niewolę.

„I nie zabijaj — kiedy zrozumiesz
mądrość w tym słowie?
Wielka to prawda, ale takiej prawdzie
nie sprosta człowiek.

„Rozsypię miasta, bo w nich nadzy ludzie
znów cudzołożą.
— I żyliśmy młodzi z kobietą w grzechu,
o Boże, o Boże.

„Nie kradnij — głosem natchnionym z ambony
grzmi święta nawa.
— Opacznie pojęli: na biednych i głodnych
ukuliśmy prawa.

„Nie będziesz świadectw bliźnim wystawiał
fałszywej postaci.
— Zawistnie pluliśmy w publicznych sporach
na własnych braci.

„Człowiek śmiertelny, więc bogactw cudzych
niech nie pożąda.
Inne narody złoto przywożą
z dalekich lądów.

„Kochaj bliźniego, jak siebie samego,
wola Twa taka.
— Tej prawdy największej dzisiaj nie pojmie
serce Polaka".

— — — — — — — — — — —

Ciemno już się zrobiło. Kontury zatarte.
Wychudłe twoje ręce koc wytarty gniotą,
aż w ciszę wtargnął warkot daleki samolotu
ponad miastem, i znowu, i trzeci, i czwarty.

Lecą i lecą ciężko, i znowu i znowu
— i powoli w poduszki opadła twoja głowa.
Wiatr wieczorny zawodził i niósł podchmurny chłód
— i huczą motory ciężko na wschód wciąż i na wschód.

Aleksander Rymkiewicz
(Dokończenie nastąpi).

Witold Bieńkowski

Niedokończona katedra

„Oto jest wola moja i rozkazanie: macie tak stawiać, mistrzu, tę katedrę naszą, jakby to był jedyny kościół Boży na obliczu ziemi" — polecał biskup Robert z Beauvais pierwszemu budowniczemu, Adamowi z Chartres.

Nic to, że słowa te zbiegają się w powieści Hanny Malewskiej*) z poprzedzającym je „proroctwem" pomylonej starej matki cieśli Mateusza: „teraz, jak to już zgorzało, wybudujemy największą katedrę w całym królestwie". Nic to, że w odpowiedzi, „wy, babko, jesteście największą wariatką w całym królestwie — burknął kanonik Wilhelm de Saint-Amour". I nieważnym jest, że nie zrealizowano ani „proroctwa", ani rozkazania.

Bo przy budowie katedry w Beauvais brzmiało wielkie hasło pielgrzymów w chrześcijaństwie od Compostelli po Górę Oliwną.

Ultreia! Ultreia!

Bo zamknięto w symbolice wielkiego trudu dźwigania głazów na zręby Przybytku Bożego urastanie ludzi i ich upadki. Cnotę i grzech. Świętość i szatańską pychę.

„Przyszedł wicher obcej woli przemożnej i porywa ich oto z miejsc zasiedziałych, własnych, jak burza odzierająca liście jesienią. I oni pójdą, pójdą na koniec świata, ramię przy ramieniu, pancerni, hardzi... Czyń coś powinien i niech świat się wali. Szaleńcy, to są szaleńcy... Od króla do pachołka. Obcy filozofowi jak te słupy kamienne, jak głownie trzaskające na kominie".

Szaleńcy od króla do pachołka. Ogarnięci niepokojem czasu, heroiczni w cnotach i szatańscy w grzechach. Epoka zmagań nie na miarę dzisiaj zrozumiałych, epoka i dzisiaj porywająca tęsknotą do prawdziwej wolności, do chęci zatracenia wszystkiej małości, poddania się woli przemożnej, nakazującej porywać się tylko na wielkie i li-tylko przez heroizm osiągalne.

Wymierzanie epoki postaciami brata Hilarego i Hugona, cesarskiego architektora — Ludwika Dziewiątego i anarchią „Pastuszków" — Dominikanina Tomasza z rodu hrabiów na Akwino i brata Wincentego z Beauvais, piszącego „obraz wszystkiego świata w poczwórnym zwierciedle" — to pokazanie przekroju pełnego obrazu czasów, w których panuje wicher Woli Przemożnej. Panuje i porywa. Zmienia ludzi — uświęca lub obala.

To tęsknota do czasów wichru i ognia. Tęsknota do gorejących płomieni. Ucieczka od oziębłości serc i letniości uczynków ludzkich.

Książka Malewskiej jest bodaj jednym z najpełniejszych wyrazów tej wizji artysty i prawdy szukającego człowieka, która obejmuje całość zagadnień wewnętrznego życia. Życia nie cofniętego historycznie wstecz, ale właśnie wybiegającego ku przyszłości. Jak każde poszukiwanie. W książce Malewskiej jest prawda. Jest w niej przedziwne stopienie tych wszystkich elementów poszukiwania własnej siły, własnej drogi i własnego ognia, że nie sposób podejść do książki z analizą formalną, dudniącą bezdźwięcznie słowami o wadach i zaletach konstrukcji, czystości języka, lub prawdziwości opisywanej epoki. Książkę Malewskiej trzeba przyjąć, lub trzeba ją odrzucić. Trzeba wydobyć z siebie trud współtworzenia tęsknoty i gotowości poddania się wichrowi woli przemożnej — lub przez porównanie paryskiej Notre Dame i katedry w Chartres z zamierzonym a nieskończonym dziełem w Beauvais zabawić się w cesarskiego architektora, który „na szczycie drabiny, na tle wielkiej różycy stał... i pochylony mierzył składanym łokciem jej wiązadła".

Dlaczego równo w połowie książki i w kulminacyjnym punkcie urastania w wielkość ludzi Beauvais padł od sztyletu mordercy brat Hilary? Dlaczego wraz z jego śmiercią nie powtórzył się okrzyk „Ultreia! Ultreia!", a przyszła śnieżyca na kwitnące drzewa, grady na Wielkanoc? Dlaczego pryskać zaczęły w budowanej katedrze w Beauvais potężne obłąki dębowe, podpory kamiennych ciosowych łuków? Dlaczego przyszły same klęski? Tatarzy i Saraceny w Ziemi Świętej?

Czyżby pijany Szymek, zatrzymany nagle w swej największej drodze jałmużnika był symbolem rozpoczynającego się zła, gdyż „brat Hilary źle popatrzył na mnie... żem ja zabił?".

Pytania, na które trudno odpowiedzieć. Gdyż rozpętana przez Malewską tęsknota do czasów ognia i ludzi — płomieni Bożych nie chce i broni się przed stwierdzeniem klęski i samotności, gdy odchodzi święty, który „mniej lubił mrówki niż inne stworzenia Boże, gdyż za smutne mu się widziały i nazbyt przezorne".

Trudno jest dociec świadomości twórczej autorki „Kamieni, które wołać będą", jak nie sposób jest świadomie współtworzyć w szamotaniu się z ciągnącą ku ziemi własną małością.

Mistrz Hugo, architektor cesarski, wypowiada słowa słuszne. On powiedział o wichrze obcej woli przemożnej. On wymierzał cyrklem wiązanie wielkiej różycy katedralnej, on był filozofem, wrogiem franciszkańskiej braci wesołej i żebrzącej, gdyż skradli mu oni „klucz od rozdroża", osiągnęli władztwo pól, słońca i życia. On był sobą, na najbardziej ludzką miarę skrojonym poszukiwaczem prawdy i u historyka brata Wincentego z Beauvais i u kanonika de Saint-Amour, autora paszkwilu „Perricula novissimorum temporum" i wreszcie u swojej ongi Lianory, a potem wspaniałej matki Dezyderii, przeoryszy w Thinville.

Mistrz Hugo, cesarski architektor, właśnie on a nikt inny, jest osobą centralną książki „Kamienie wołać będą". W człowieku tym skupiają się wszystkie ludzkie prawdy, łącznie z tą, że sceptycyzm i wygodnictwo z okresu szału okrzyków „ultreia! ultreia!" zmienia się w chwili największego upadku w stwierdzenie: „cóż mu teraz pozostaje, jak nie pójść do Dezyderii i co z nim teraz ma być? Z nim, z tym, który kiedyś zwał się Hugo z Awinionu?".

Krzyżowiec krucjaty innej, cichej i niezbrojnej, posiadacz „klucza od rozdroża", mandatariusz świętego króla w dziele wielkich reform sprawiedliwości społecznej, obszarpany brat Hilary, który kiedyś „potrząsał ludźmi w tym bogatym mieście Beauvais, jak ogrodnik potrząsa gruszą, by rozstała się nareszcie ze skarbem swego plonu", brat Hilary, który „odchodził bosy, beztroski jak ptak, tak jak był przyszedł" — brat Hilary odszedł. Przebaczając mordercy.

Śmierć jego miała narodzić życie. Z największego załamania człowieka, który w osłupieniu czyjejś śmierci niespodziewanej, zbrojny obrońca, poszukiwacz życia, zląkł się zjawy śmierci i uciekł. „Rzucił się na brzuch w mech i igliwie. Zaczął czołgać się jak pies, jak lis". A potem „biegł, biegł jak nigdy jeszcze w życiu".

Śmierć brata Hilarego nie narodziła życia. Ze śmierci tej powstał franciszkanin III zakonu, inny mistrz Hugo, który biczował się za własną ludzką klęskę w obliczu próby, a „świat zastawał go już na modlitwie, uporczywej, zaciekłej jak kołatanie, utrudzającej jak dźwiganie ciężaru" — na złej modlitwie, niepodobnej zgoła do modlitwy tego, z którego śmierci miał się on narodzić.

Zaiste trudno jest ocenić świadomość twórczą Malewskiej. Boć przecież ten nowy, a nie nowy, Hugo z Awinionu, dał się także porwać szałowi wichru, poddał się woli przemożnej, która zawsze i zawsze pozostała dlań wolą obcą. On, właśnie on, dał największy wkład twórczy w katedrę w Beauvais, on patrząc na realną przezorność i brak twórczej odwagi w dziele Adama z Chartres, wołał do własnej wizji największego ludzkiego cudu: „nie, jeszcze wyżej, jeszcze lżej. Jeszcze jaśniej, i czyściej, i bezcieleśniej".

Pesymizm?

Chyba nie. Tylko znikomość dzieła ludzkiego, dla którego „Wola Przemożna" jest wolą obcą.

Bo Hugo z Awinionu upada po raz drugi. Straszniej, niż w chwili śmierci świętego. Ucieka po raz drugi. Ucieka przed zjawą własnej, tym razem, śmierci.

Endura. I potem... „zdejmę iglicę". Tę, co miała przeszywać chmury.

„Od dnia strącenia aniołów Duch Nieprawości nie ośmielał się jeszcze stanąć przed niczyimi oczyma, tak jest nagi i skażony. Poznajemy go jednak czasem. Ma on jakby woń własną, ale ten tylko ją rozpozna, kto oddychał wprzódy niebiańską wonią Najwyższego".

Słowa te usłyszał już kiedyś mistrz Hugo od Lianory-Dezyderii, i zdawało mu się, iż Ducha Nieprawości widział brat Hilary podczas ich kiedyś po polach i łąkach wędrówki.

I nie było nikogo wówczas, kto wprzódy oddychał niebiańską wonią Najwyższego, gdy mistrz Hugo kończył swą „dumną" ludzką wędrówkę. Gdy na iglicy katedry wspięty, rozkraczony na wiązaniach, podwajał i potrajał ciosy siekiery, aby zburzyć to, co wzniósł.

„Szymon wiedział, że to jest Hugo, ale dostrzegał jakąś strzygę piekielną, niweczącą dzieło Boże — z przemienionym nieludzko obliczem, z połami, które wicher rozpościerał na kształt skrzydeł nietoperza".

A jednak w sekundzie ostatniej brat Hilary przez swą śmierć stworzył życie. Bo „naraz człowiek na iglicy pochwycił oburącz zataczające się bierwiono, załamał się w sobie, jakby chciał paść na kolana. I krzyknął. Ale nie jak ten, co leci w otchłań i umiera. Głos, który zwyciężył łoskot lawiny kamiennej — był krzykiem nadziei...".

Z katedry zostało to, co postawiono pierwej.

Ultreia! Ultreia!

I cóż, że odmieniły się dusze ludzi małych. Cóż, że sprzeniewierzył się Szymek, cóż że wielkie porywy Mateusza znalazły ujście w jego marszu na Paryż w gronie anarchistycznych „Pastuszków". Cóż, że na nędzny ludzki język przetłumaczono zawołanie krzyżowców.

„Pokażemy wielmożom, co to pochód krzyżowy! Z ich mieczami pójdziem, na ich rumakach, na kupieckich nawach przepłyniem".

Minęły czasy spraw zapisanych przez historię, minęły czasy małych spraw ludzkich, zanotowanych przez mniej lub bardziej zbliżoną do rzeczywistości inwencję pisarza.

Były czyny. Jakieś być musiały. Trwają tylko te, które służą prawdzie i które są potrzebne w służbie wielkich tęsknot człowieka.

„Trędowaty posłusznie podniósł głowę i wyciągnął szyję. Po chwili miękka wilgotna szmatka, prowadzona zręczną, wprawną ręką, zdejmowała mu ropę z powiek, wytaczała ją ostrożnie z wrzodów na wardze. Chwilami czuł dotknięcie palców tak łagodne, tak miękko przylegające, jak dotknięcie warg, pocałunek".

„Lekko, lekko palce dotknęły ręki rozpalonej. Palce? Czy może wargi? Ciche kroki i ciche, ostrożne skrzypnięcie drzwi".

„Król Ludwik Francuski stał w refektarzu braci, u ich fontanny, lejącej strumienie wody z wyższej kruży do niższej, a z tej pod ziemię. Schylił wyniosłe barki, wyciągnął ręce. Zimna i czysta woda uniosła z nich już ostatki krwawej ropy".

Z czynów ludzkich, które były, a jakieś być musiały, pozostają tylko te, które służą.

Niedokończona katedra w Beauvais jest rzeczywistością. Nie inną od tej, jak wieczna ludzka tęsknota do wielkości, jak tęsknota do poddania się zwyciężającemu wichrowi Woli Przemożnej.

Nie obcej, nie!

Oby znanej, oby najbardziej znanej, oby wczas przeczutej i w porę przyjętej!

Ultreia! Ultreia!

*) Hanna Malewska. Kamienie wołać będą. Powieść z XIII wieku. Nakładem Drukarni św. Wojciecha w Poznaniu. Str. 405+7 nl.

Autorów i wydawców, którzy pragną aby ich książki były omawiane w „Dziś i Jutro", prosimy o nadsyłanie do Redakcji po 2 egzemplarze recenzyjne.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. E. P., Sosnowiec. Fragment nie jest całkowicie bez wartości, nie nadaje się jednak do druku.

O. M. P., Kraków. Za nadesłanie pracy dziękujemy. Omówimy ją.

Przyrodnik. Omówienie tematu w formie essayu literackiego nie odpowiada nam.

P. J. G., Hrubieszów. Artykuł „Tomizm i mesjanizm" jest źle napisany i niekoniecznie słuszny. Drukować nie będziemy.

„Abedi". Nie wykorzystamy.

„Chłop z nad Sanu". Dziękujemy za list.

P. Wł. Z., Piotrków. List otrzymaliśmy. Życzymy jak największej prostoty w wypowiedziach.

I z dwiema kropkami

Przeczytałem artykuł p. J. Kotta w nr. 49 „Przekroju" raz — i poczułem niepokój. Przeczytałem po raz drugi — i byłem już w domu. Uspokoiłem się, Nie ma mowy o plagiacie. Jest tylko: rażące podobieństwo.

Coś osiem czy dziewięć lat temu w jednym ze swych świetnych felietonów pisał o harcerstwie Wojciech Wasiutyński. Skrytykował bardzo ostro harcerstwo za jego bezideowość, skrytykował wychowawczy minimalizm harcerski, głoszący zasadę „jednego, dobrego uczynku w ciągu dnia', przypomniał o związkach masonerii ze starym boyem Baden Powellem. A Wasiutyński w tym czasie należał do „Falangi".

P. Kott zaatakował także ideał wychowawczy harcerski. Nie pisze o bezideowości ale o apolityczności, nie mówi o minimaliźmie wychowawczym ale o jednostronnym ideale służby i dyscypliny, nie wspomina o masonerii ale sięga pamięcią do czasów jędrzejowczowskich. Niby inaczej, a właściwie bardzo podobnie. Nieomal kubek w kubek tak samo. A przecież p. Kott jest marksistą.

Trochę zabawne — co? Ale to mniejsza.

P. Kott wywodzi swe rozważania o harcerstwie od wspomnień o pewnym Wojtku, który u p. Kotta wypowiada poglądy wypisz wymaluj zaczerpnięte z ideologii „Konfederacji Narodu". Potem jeszcze natrafiamy w felietonie na dygresyjną wzmiankę o grupie „Sztuka i Naród". I obraz jest już gotowy. Wynika zeń niezbicie, że młodzież narodowa (postawmy już tę kropkę) dlatego była taka, jaka była (a jaka była, to się samo przez się rozumie), że była źle wychowana. Po harcersku. Według ideału, zgodnie z którym „zamiast rozwijać myśl, kształci się charakter, zamiast budzić zdrowy krytycyzm, zaufanie do rozumu, dzielność intelektualną, żąda się posłuszeństwa, męstwa, wiary, mówi się o wierności i honorze. Zamiast wychowywać trzeźwe umysły, budzi się zdrowe instynkty...".

Rzecz ciekawa, że taki filar „Falangi", jak Wasiutyński, krytykując przed laty harcerski ideał wychowawczy, nic nie zrobił, aby w innym duchu rozpocząć wychowywanie swych młodszych kolegów!

Nie byłem nigdy w „Falandze", nie byłem w Sinie, nie byłem w harcerstwie. To mnie, jak sądzę, uprawnia do odezwania się w tej sprawie.

Otóż wydaje mi się, że Wasiutyński nieco zbyt daleko zabrnął w krytyce harcerstwa. Harcerstwo — skauting — nie zrodził się na niwie minimalizmu i liberalno-masońskiego ideału życia, ale w ogniu walki w Afryce Południowej. Mniejsza z tym, kto miał wówczas rację: gen. Smouts czy podporucznik Churchill. Młodzież angielska, która w oblężonym Mafekingu stawiła się na wezwanie Baden Powella zapalona była duchem swoistego patriotyzmu (angielski patriotyzm ma coś zawsze z imperializmu!) była odważna i myślała logicznie. Naturalnie w świecie angielskiej flegmy i angielskiego „nic się nie dzieje póki nie trzeba, aby się działo" — po skończonej i wygranej wojnie zadania skautingu poczęły nabierać filantropijno - sportowego zabarwienia. Ale nie wszędzie jest Anglia, gdzie się latami może nic nie dziać. U nas np. sprowadzony do jednego dobrego uczynku na dzień ideał harcerstwa nie potrafił się utrzymać. Ideał służby nie wiadomo komu nikogo nie bawił. Gdy sanacja chciała mieć harcerstwo jako jeszcze jedno uszeregowanie społeczeństwa, harcerstwo odpowiedziało na to zamieraniem. I zdawało się przed wojną, że harcerstwo, któremu patronują karierowicze w stylu Grażyńskiego, zakończy ostatecznie swój żywot, by się zamienić w jakiś swoisty „Hitler-Jugend" czy „Balilę".

Tymczasem nie. Okazało się, że harcerstwo podminowane jest siłami ideologicznymi. Ledwo nadszedł czas konspiracji, rozpadło się ono natychmiast na grupy. Powstały harcerstwa katolickie, narodowe, czerwone — tylko nie było harcerstwa bezbarwnego. Nawet bowiem t. zw. „szare szeregi", uważane — słusznie czy niesłusznie — za jedyną pozostałość harcerstwa Grażyńskiego, ukazało bardzo szybko swe zdecydowane ideowe oblicze. „Kamienie na szaniec" są tu kiepskim dowodem, wyrażają bowiem wiernie bardzo początkowe nastroje. Eklektyzm ideowy istotnie istniał w tym czasie i to oddał wiernie autor książeczki, który sam zresztą miał najwięcej inklinacji do — WRN'u. O późniejszym obliczu „szarych szeregów" książeczka nie mówi. Ci jednak, którzy widzieli Wojtków i Czarnych w walce, mogą o tym obliczu wiele powiedzieć. Nie tylko zresztą o ich odwadze — choć zapominać nie wolno, że Starówka broniona była w pierwszym rzędzie rękoma harcerzy — krwią batalionów „Zośka", „Parasol", „Czata", „Brody", „Wigry", „Gustaw"... Ale także o postawie ideowej, o gorącej płomienistej wierze i o zdrowym, trzeźwym rozsądku tych chłopców. Naturalnie — nie wszystkich. Naturalnie — nie zawsze uświadamiających sobie od razu sens rzeczywistości. Ale czy można było wymagać od nich, którzy kształcili przede wszystkim w sobie charakter, męstwo, wierność, honor i wiarę, aby się powierzyli gwieździe „zdrowego rozsądku" w dniach tak trudnych i nabrzmiałych niecodziennością, w dniach kiedy popełniali kapitalne głupstwa nawet ludzie, którzy w wychowywaniu siebie całkowicie poświęcili charakter, wierność i wiarę na rzecz „zaufania do rozumu?".

Tyle o harcerzach. A teraz dwa słowa o Sinowcach i ex-falangistach.

Gdy się na tych ludzi patrzy z bliska, jak mnie danym jest patrzeć, gdy się widzi co myślą i jak oceniają swą wczorajszą działalność, trzeba żywić dla nich uznanie. Dla człowieka, który umiał zrewidować swoją przeszłość, wybrać z niej zło i to zło w sobie samym potępić, a nie wyprzeć się go, (jak się dzisiaj wielu zdarza) umiem czuć tylko szacunek. Cokolwiek by jednak w dawnym światopoglądzie „Konfederacji Narodu" mogło się nam nie podobać, to przecież jednego „Konfederacji" zarzucić nie możemy: nie myślenia. Dla p. Kotta ten, kto myśli inaczej niż on, nie myśli wcale. Być może p. Kott nie przeżywał nigdy kryzysów i przemian wewnętrznych. Ja osobiście, nie potrafię być z tego dumny, że byłem zawsze katolikiem. Przeciwnie — zawsze byłem i jestem mocno zażenowany, uważając to za dobrodziejstwo Łaski, lecz wcale nie dowód przyrodzonej bystrości umysłu. Zresztą — kwestia poglądu. Nie o to chodzi. Nie chodzi także o to, że ktoś mógł myśleć źle lub dobrze. Chodzi o to, czy myślał. Nie o wybór chodzi — powiada Kierkegaard — ale o wybieranie. Postawa etyczna, zdaniem genialnego filozofa, zawiera się w szukaniu. Znalezienie jest już tylko zwykłym następstwem.

Ludzie z Sinu czy z Konfederacji poświęcali czasami życie dla gestu. To było złe. Częściej poświęcali życie dla swej koncepcji ideowej. To mogło być niepotrzebne w proporcji, w jakiej koncepcja była niesłuszna — ale nie było złem. P. Kott uważa, że wyrazem „wstecznictwa i zacofania" (czym się różnią te dwa wyrazy?) jest kształcenie charakteru zamiast budzenia zaufania do rozumu. Gdyby ci chłopcy nie mieli urobionego charakteru, gdyby nie byli ludźmi pojmującymi etykę, bo żyjącymi wiarą, nie odkryli by na pewno tak odważnie swoich błędów. Zgódźmy się — zaufanie do rozumu może nam powiedzieć, żeśmy poszli złą drogą, ale rozum nas nie zmusi do przyznania się do winy. Być może istnieją dwa kierunki myślenia: jeden głoszący tylko „trzeźwe umysły", drugi tylko „zdrowe instynkty". Jako katolicy nie umiemy jednak myśleć, tak jednostronnie: zdaniem naszym charakter musi być rozwijany jednocześnie z myślą. Charakter bez rozsądku — to nędza. Ale spryciarz bez charakteru — to kanalia!

Kropka nad i, to znaczy strzał bez pudła. Dwie kropki nad i to chyba t. zw. dublet. Warunkiem dubletu musi być jednak — o tym uczy trzeźwy umysł — by oba cele leżały na jednej linii, która się stanie linią lotu pocisku. Bo jeśli nie leżą, może być jeden zestrzał i jedno pudło. Ale najczęściej — dwa pudła.

J. D.

Zwiastowanie

Kilka tygodni temu Paweł Claudel, będąc w Szwajcarii, wygłosił odczyt. Nie wiem, co było jego treścią, dowiedziałam się tylko o jednym zdaniu, które powiedział poeta: że we wszystkich bohaterkach swoich utworów starał się uwidocznić jakąś cechę Matki Boskiej. Może dlatego postacie kobiece utworów Claudel'a promieniują takim blaskiem czystości i piękna.

Myślę dziś szczególnie o jednej z nich: Violenie, bohaterce wspaniałego Claudelowskiego dramatu „L'Annonce faite à Marie". Przetłumaczył go Jarosław Iwaszkiewicz pod tytułem „Zwiastowanie".

Tytuł ten ma podwójne znaczenie: jest oddźwiękiem dzwonów bijących kilkakrotnie na Anioł Pański w kulminacyjnych punktach dramatu ,a równocześnie podkreśleniem drugiego rodzaju zwiastowania, dokonującego się w życiu Violeny. Te cnoty Matki Boskiej, które odzwierciadlają się w Violenie, sprawiają, że przyjmuje ona swoje zwiastowanie podobnie jak Maria, z wielką miłością i poddaniem się woli bożej. Rozwija się tu w całej pełni problem miłości i cierpienia: odwieczny problem całej ludzkości, szczególnie głęboko ujmowany przez Claudel'a we wszystkich jego utworach.

W życiu każdego człowieka dokonuje się jakieś zwiastowanie. Trzeba je usłyszeć, przyjąć — i wykonać do końca to, co ono głosi. Jest to poznanie swojego właściwego miejsca, zajęcie stanowiska odpowiedniego względem Boga i ludzi.

Zostaje wtedy rozwiązany problem pokory, która nie jest niczym innym jak prawdą, a w zastosowaniu praktycznym, postawieniem siebie na odpowiednim miejscu. Nie wyżej (pycha) i nie niżej (fałszywa pokora). Stąd droga otwarta do świętości, do tej świętości tak źle rozumianej, że nieraz jest „tematem drażliwym" i powiedzenie, że każdy jest do niej przeznaczony może jeszcze w niektórych środowiskach wywołać zamieszanie.

Usłyszenie zwiastowania, przyjęcie go z pokorą i osiągnięcie świętości przez ogrom miłości i cierpienia zesłanego wraz z powołaniem, przeprowadza Claudel konsekwentnie w życiu Violeny.

Ale spójrzmy na jej pierwowzór, nieskończenie doskonalszy: na całe życie Matki Boskiej. Od zwiastowania do chwili stania pod Krzyżem, a właściwie od swego urodzenia do wniebowzięcia, rozwija wciąż świętość — która Jej była dana jako niepokalanie poczętej — przez wypełnienie do końca tego, do czego Ją Bóg przeznaczył.

Niema ludzi bez powołania, ludzi bez miejsca. Każdy ma przeznaczony dla siebie ugór, który musi zaorać i obsiać. Usłyszeć i zrozumieć swoje powołanie można tylko w skupieniu wewnętrznym.

Wielkim złem obecnej doby jest brak skupienia. Może nigdy nie było ono tak trudne jak dzisiaj, a równocześnie tak bardzo potrzebne. Dlatego zdając sobie sprawę z konsekwencji wynikających z jego braku, i z dobra, które ono przynosi, zastanówmy się nad skupieniem.

Święto Zwiastowania, jedno z niewielu świąt radosnych, jakie obchodzimy w Wielkim Poście, jest może dlatego z tym okresem tak zharmonizowane, że jest świętem skupienia: koniecznego warunku przeżycia Wielkiego Postu. Skupienia — którego przykład daje nam Matka Boska i które jest tak nierozerwalnie złączone z Jej postacią.

Dobrze musiał pojąć to Fra Angelico, malując Marię słuchającą anioła Gabriela, tak głęboko skupioną.

Zrozumiał to także Claudel: Violena w jego „Zwiastowaniu" traci wzrok. Nie jest to symbol zamykania oczu na rzeczywistość. Można widzieć — i nie zobaczyć. Chodzi o skupienie, które pozwala ujrzeć głębiej i prawdziwiej.

I Piotr - architekt, który wznosi katedrę w Rheims, bierze Violenę za model do fugury Justitii, którą rzeźbi jako dziewicę z opaską na oczach:

„Aby słuchała lepiej, nie widząc,
Wrzawy miasta i pól, i głosu człowieka
z głosem Boga równocześnie.
Bo ona jest Sprawiedliwością samą,
która słucha i ustanawia w swym sercu
prawdziwą zgodność.
Oto ona, która jest schronieniem przed
burzą i cieniem przeciw upałom'.*)

*) tłum. K. W.

Katarzyna Woźniakowska

KRONIKA KULTURALNO - OŚWIATOWA

Gdy będziemy przeglądać prasę codzienną oraz periodyki o charakterze literacko-społecznym, to zdziwi nas, jak mało miejsca jest w prasie polskiej poświęcone nauce. Z pism codziennych wybija się na pierwsze miejsce krakowski „Dziennik Polski", który kontynuuje stare tradycje krakowskiego „Ikaca", który, jak wiadomo, posiadał stały dodatek literacko-naukowy, w którym pisali bardzo często przede wszystkim uczeni krakowscy z prof. Sinko na czele. Krakowski „Dziennik Polski" jest jedynym pismem codziennym, posiadającym stały dodatek naukowy. Z pism literacko-społecznych nie zapomina o popularyzacji nauki „Tygodnik Powszechny", po części „Odrodzenie" i „Problemy". Te ostatnie zwłaszcza, jak i wiele pism codzienych, popularyzację nauki uprawiają w odniesieniu tylko do bomby atomowej i penicyliny. Dopiero drugi numer „Problemów" przyniósł nam szerszy aspekt zainteresowań. Do ciekawych tu artykułów należy wymienić pracę o nauce niemieckiej i jej zdobyczach oraz „micie", jaki w koło jej domniemanej wielkości powstał. Do naprawdę ciekawych pism należy „Nauka i Sztuka", która nie wiadomo dlaczego się nie podoba w pewnych kołach obozu materialistycznego. O ile „Problemy" idą na tanią popularyzację, pojęto zresztą rzeczowo oraz dostępność dla szerokich mas i staną się przede wszystkim pismem wykładanym w świetlicach różnego autoramentu przez swą żywość i problematykę w nich zawartą, to „Nauka i Sztuka" winna być pismem dla instytucji kulturalnych, poświęconych nauce, sztuce, klubów „wyższej kultury umysłowej" i t. d. Trzeba przyznać, że ostatni zeszyt tego pisma coraz bardziej wyjaśnia oblicze oraz zamierzenia świadome swych celów w tym zakresie komitetu redakcyjnego. Osobną pozycją niezwykle dodatnią jest „Życie nauki", miesięcznika naukoznawczego, który ma ambicję stania się pismem polskiego świata naukowego i ogółu inteligencji, interesującej się nauką. Charakter jego winien być utrzymany za wszelką cenę w następnych numerach i rola jego jest podobna do zadań „Nauki i Sztuki", lecz w innym zakresie. Ciekawą ewolucję przeszedł „Przegląd Zachodni", gdzie jest widoczna reorganizacja w pozytywnym kierunku przeprowadzona przez redakcję. Na szczególną uwagę zasługuje dział, omawiający prace poszczególnych ośrodków kulturalnych i naukowych w badaniach i poczynaniach organizacyjnych w stosunku do ziem odzyskanych. Doskonały artykuł wstępny Suchockiego p. t. „Historyzm jako podstawa twórczości kulturalnej", daje jakby program ideowy pisma i założenia programowe „Instytutu Zachodniego". Do niemniej interesujących należy artykuł p. t. „Nowe państwo niemieckie w stadium organizacji", napisany przez Klafkowskiego. Sprawy okupowanych Niemiec układają się w ten sposób w/g wywodów autora, że w bliskiej przyszłości już możemy się spodziewać powstania nowego zorganizowanego jednolitego państwa niemieckiego.

Jak nam doniosła prasa, w najbliższym czasie ma się ukazać nowy periodyk p. t. „Śląsk", poświęcony sprawie przeszłości i teraźniejszości tej dzielnicy. Komitet redakcyjny składa się podobno z trzech profesorów uniwersytetu wrocławskiego, a pismo ma się ukazywać w Jeleniej Górze. Nie wiemy, jaki będzie miało charakter to pismo, lecz boimy się jednak, że będzie wkraczało na podwórko „Zarania Śląskiego", wydawanego przez „Instytut Śląski" w Katowicach. Sprawa ta nabiera szczególnego aspektu wobec sprawy czeskiej. W chwili obecnej w naszym przekonaniu wysiłki nasze winny być zespolone i nie stać nas na masę pism miernych, które czy prędzej, czy później muszą upaść. Nie przesądzając istotnej być może wartości i potrzeby nowo powstającego periodyku, stwierdzamy, że w Opawie za kordonem granicznym powstał czeski „Śląski Instytut Studiów", który ma za zadanie naukowe badanie Śląska pod względem archeologicznym, językoznawczym, etnograficznym, historycznym, ekonomicznym i t. d. Instytut ma wydawać pismo, finansować badania, ogłaszać konkursy na dzieła naukowe o Śląsku i t. d. Jak doniosła „Odra", już z wielu stron Czechosłowacji odzywają się głosy, że trzeba koniecznie gorliwiej się zająć poznaniem regionalnej kultury śląskiej. Każdy Czech, jak podaje to pismo, musi dokładnie orientować się w problemach Śląska. Czesi podobno motywują powstanie instytutu badawczego tym, że w Katowicach istnieje od dawna taki instytut „i jak wiadomo, piszą Czesi — miał niemały udział w spolszczeniu naszych Morawian". Charakter nowego pisma, które się ukaże, przesądzi o jego potrzebie. Jeśli będzie to pismo tylko dolno-śląskie, być może, że będzie potrzebne. Nad całością jednak problemów Śląska winno czuwać „Zaranie Śląskie" przez swą tradycję i metody pracy, które wydały już owoce.

J. Ant.

LISTY DO REDAKCJI

PROBLEMY

W „Trybunie Wolności", organie P. P. R. (Nr 88) ukazał się niezmiernie ciekawy artykuł p. R. Łysiaka, p. t. „Kościół katolicki a obóz demokracji". Zanim wystąpi z polemiką jeden z członków naszej Redakcji, oddajemy głos przedstawicielowi koła czytelników „Dziś i Jutro".

W kołach katolickich musiał wzbudzić duże zainteresowanie artykuł p. R. Łysiaka, zamieszczony w „Trybunie Robotniczej p. t ..Kościół katolicki a obóz demokracji".

Artykuł ten można by uważać za chęć wyciągnięcia ręki do zgody, jaka bezsprzecznie jest konieczna w naszych warunkach powojennych ,oprócz tego wydaje się, że jest on szczerą wypowiedzią, jednak z drugiej strony świadczy on o pewnym pobieżnym traktowaniu niektórych problemów, a także o zbyt dużej tendencyjności autora.

Przede wszystkim na wstępie chciałbym zwrócić uwagę autorowi wyżej wspomnianego artykułu, że obóz demokratyczny tworzą nie tylko materialiści, ale do niego wchodzą także ruchy polityczne o ideologii chrześcijańskiej. Z kolei należałoby rozstrzygnąć, jaki jest stosunek kościoła katolickiego do demokracji, uważam, że jeżeli do obozu demokratycznego wchodzą ruchy polityczne o ideologii katolickiej, to z natury rzeczy stosunek ten musi być pozytywny i napewno takim jest, chyba, że ktoś chce go widzieć innym i uroi sobie, że jest inny, ale na to nie ma rady.

P. Łysiak twierdzi, że przeciwstawieństwo dwóch obozów, a mianowicie katolickiego i marksistowskiego nie stanowi głównej treści obecnych czasów. Stanowisko takie wypłynęło ze zbyt pośpiesznie wyciąganych wniosków z pewnych faktów, a mianowicie współpracy między tymi dwoma obozami na polu gospodarczym i naprawy stosunków społecznych w niektórych państwach. Współpraca taka wynikła tylko z pewnych wspólnych dążeń, a nie z porozumienia ideologicznego, tych dwóch tak sprzecznych światopoglądów, gdyż walka, jaka się toczy między tymi obozmi, nie ustaje, a tylko z pewnych dziedzin zostaje eliminowana, walka ta będzie trwała aż do upadku jednych, i mimo wszystko jest treścią czasów, jakie obecnie przeżywamy J. E. Ks. Kardynał prymas August Hlond przemawiając 28.X.45 między innymi powiedział: „Mimo że między nauką chrześcijaską a doktryną materialistyczną są niektóre punkty styczne, np. co do rozwoju cywilizacji, co do potrzeby reform społecznych, co do konieczności podniesienia poziomu kulturalnego i materialnego najszerszych warstw, w zasadniczych rzeczach zachodzi jednak między chrześcijaństwem a materializmem różnica tak istotna, że teoretycznie ich pogodzić nie podobna, tak jak nie można pogodzić pojęcia Boga z bezbożnictwem. Stąd w świecie to napięcie duchowe o wielkim i nie przypadkowym nasileniu".

Walka ideologiczna, jaka się toczy z materializmem, nie wyklucza współpracy tam, gdzie to jest możliwe i konieczne ze względu na dobro ogólnonarodowe.

Obóz katolicki uważa, że aby nastąpiło prawdziwe uzdrowienie stosunków społecznych, musi nastąpić sanacja moralna społeczeństwa i jednostki w duchu zasad katolickich, dlatego my chcemy mieć wpływ jak największy na wychowanie mas katolickich i chcemy je kształtować w duchu naszych zasad. Obóz materialistyczny uważa, że katolicyzm, to „rzecz prywatna" obywateli, matrialiści, odsyłając nas do spraw prywatnych, zapominają, że sami tworzą pewną religię, że także mają coś, co im imituje biblię, dlatego odsyłanie religii do spraw prywatnych można by śmiało i do nich stosować. Nam się wydaje, że wydawanie ustaw małżeńskich, redagowanych w duchu materialistycznym, mogłoby być załatwione innym sposobem ku zadowoleniu obu stron.

Problem ten mógł być załatwiony tak, jak został załatwiony we Włoszech, dzięki czemu nie musiałby nikt dwa razy brać ślubu. Przeciw rozwodom dla ludzi niewierzących nie mamy zastrzeżeń i jedynym postulatem, jaki w tej sprawie mamy, jest, aby strona ubiegająca się o rozwód, przedstawiła dowód, że nie jest członkiem Kościoła Katolickiego. Nam chodzi o to, aby sprawy nie zaciemniać, aby była postawiona jasno, chcemy, aby każdy katolik wiedział, że biorąc rozwód występuje z Kościoła Katolickiego.

P. Łysiak twierdzi, że jest konieczność współpracy w odbudowie i ugruntowaniu niepodległości Polski, my tego nie negujemy, a dowodem, że współpraca jest możliwa między obozem materialistycznym a katolickim, jest Francja, gdzie katolicka MPR współpracuje z dobrymi wynikami zarówno z socjalistami, jak i komunistami. Sądzę, że jeżeli tam może być współpraca, to dla czego u nas nie mogłaby być. P. Łysiak pisze, że ustawa małżeńska, regulująca stan prawny w duchu zasad świeckich (czyt. materialistycznych) nie może być istotną przyczyną dzielącą nas, zdaje się, że tu zaszło małe nieporozumienie, bo czy wydawanie nam ustaw niezgodnych z naszym światopoglądem może łączyć, zdaje się, że nie

W artykule swoim p. Łysiak porusza jeszcze jedną ciekawą sprawę, a mianowicie stosunku pism katolickich do obecnej rzeczywistości oraz ich „reakcyjności". Uważam, że byłoby dobrze, gdyby zamiast słowa reakcja w dyskusjach precyzowano konkretnie swe zarzuty, a nie używano ogólników, które być może że są bardzo wygodne, ale stosowanie ich przy lada okazji świadczy o lenistwie myślowym. Przedstawianie pism katolickich, jako ogranów opozycji do demokracji, zakrawa na farsę, a przykład, że tylko pisma katolickie zajęły stanowisko opozycyjne w stosunku do ustawy o nacjonalizacji, nie jest zgodny z prawdą.

Potrzeby nacjonalizacji kluczowych gałęzi przemysłu nikt nie negował, dyskusje były jedynie nad tym, gdzie się kończy przemysł kluczowy, bo mimo wszystko trudno za taki uznać drukarnie, względnie fabryki guzików. Nie można mówić o „bojowo opozycyjnym charakterze prasy katolickiej w Polsce w stosunku do obozu demokracji", to nie jest zgodne z prawdą, prasa katolicka żąda jedynie tego, co się słusznie katolikom należy. U nas panuje w stosunku do tych, co się upominają o coś, co się im słusznie należy, jakiś dziwny stosunek, patrzy się na nich, jak na wilków wśród stada owiec, a przecież nikt cudzego dobra nie chce.

W jednym wypadku p. Łysiak jest zadowolony, a mianowicie gdy stwierdza, że obóz materialistyczny jest zadowolony z tego, że są koła katolickie, które są przychylnie nastawione do reform społecznych. Panie Łysiak w Polsce są koła katolickie, które nie tylko, że są przychylnie do reform społecznych nastawione, ale które mają własne programy, i własne plany reform społecznych, i które żądają ich przeprowadzenia. Oporu w tej sprawie nie ma ani w hierarchii duchownej w Polsce, ani w Watykanie. Najlepiej świadczyć o tym mogą wypowiedzi bądź to ze strony hierarchii duchownej w Polsce, bądź ze strony papieża Piusa XII.

Na marginesie artykułu p. Łysiaka nasuwa się mnie jeszcze jedna uwaga, a mianowicie, że dobrze by było, gdyby pisarze obozu materialistycznego zapoznali się z katolickim poglądem na sprawy społeczne, gdyż tym panom zdaje się, że tylko obóz materialistyczny posiada opracowane plany naprawy stosunków społecznych, tym bardziej jest to konieczne, że od czasu, gdy Marx i Engels żyli, minęło kilkadziesiąt lat, a obecnie mamy wcale silne ruchy społeczno-polityczne o nastawieniu katolickim.

Julian Jaworski

O sztukę i rozrywkę dla dzieci

Niedalej jak przed rokiem zagadnienie rozrywki dla dziecka nie istniało jeszcze w Warszawie. Nie było w niej miejsca dla dzieci. Kto tylko mógł, chronił je przed okropnym widokiem zdruzgotanego miasta i przed prymitywnymi warunkami bytowania. Dziś Warszawa pełna jest dzieci. Ale jakże smutne dla niejednego z nich jest życie w tym upiornym, choć drogim mieście. Straszliwe przeżycia wojenne utrwalone wchłanianym codziennie obrazem pogorzeliska i ruin zapada mu z pewnością we wrażliwą duszę ziarnem goryczy. I właśnie dlatego roztoczenie racjonalnej opieki nad dzieckiem, odrywanie go jak najczęstsze od szarej, powojennej codzienności za pomocą wrażeń estetycznych, jest nakazem chwili. Dziecko przeżyło podczas wojny nie mniej niż człowiek dorosły. Dość wspomnieć dzieci pogubione przez matki na szosach podczas ucieczki w 39 roku, dzieci odrywane od rodziców podczas aresztowań, dzieci w więzieniach i obozach, dzieci, w oczach których mordowano najbliższych, dzieci wrzucane żywcem do pieców, dzieci wywiezione z terenów objętych pacyfikacją i germanizowane w Niemczech dzieci w powstaniu, ginące w ogniu i pod gruzami, oraz wołające godzinami: mamo chleba!, dzieci-kaleki, dzieci-sieroty. Tę litanię nieszczęść, które dotknęły dzieci, możnaby ciągnąć w nieskończoność. Ileż trzeba trudu, aby zatrzeć w pamięci dzieci te przeżycia wojenne i przywrócić im pełną radość życia, ile pieczy, aby wyszły one z wojny nieskrzywione moralnie. Mam oczywiście na myśli dzieci względnie małe, gdyż te, które podczas wojny handlowały i „szmuglowały", lub były na robotach, są niejednokrotnie zupełnie już wykolejone i wymagają specjalnego i długiego „leczenia".

Dzieci najmłodsze pozbawione są w Warszawie jakichkolwiek rozrywek. Nawet spacer nie może być dla nich rozrywką, wobec zwałów błota i gruzu. Dzieci w wieku szkolnym korzystają przynajmniej z imprez organizowanych przez Dyrekcje szkół, Kuratorium, oraz Wydział Szkolnictwa Zarz. Miejsk. Mają więc Teatr Międzyszkolny, Teatry Kukiełkowe: „Miś" dla przedszkoli, „Bay" dla szkół powszechnych i „Start" dla szkół średnich, mają Teatr Artystów dla dzieci „Jaskółka". Kuratorium weszło w porozumienie z Dyrektorem Teatrów Miejskich, E. Poredą, który udostępnił przedstawienia dla młodzieży szkolnej („Placówka", „Wróg Ludu"). Dyr. Szyfman daje młodzieży olbrzymie zniżki na „Lillę Wenedę" (bilety po zł. 6 i 11), organizując specjalne przedstawienia porankowe. Wspólnie z Zarządem Miejskim Kuratorium urządza koncerty dydaktyczne dla młodzieży szkolnej poprzedzone prelekcjami. Poza tym uzyskano w Radio czwartkowe audycje szkolne (od godz. 13 do 14). Tych wszystkich imprez, zresztą niezbyt częstych, pozbawione są dzieci w wieku przedszkolnym, oraz te, które z takich czy innych względów nie mogą być do szkoły posyłane. Dzieci rodziców posiadających radio (a takich jest niestety jeszcze bardzo niewiele), mogą tylko słuchać 20-to minutowych audycyj, które odbywają się codziennie — na zmianę dla dzieci młodszych i starszych (o godz. 16). Przedstawień publicznych na mieście nie ma dla dzieci zupełnie. Przez pewien tylko czas dawał przedstawienie Centr. Teatr Milicji Obywatelskiej na Karowej. Przykre to, że Warszawa tak nie dba o najmłodsze pokolenie, mimo, że tyle ono ma poza sobą i żyje w tak trudnych warunkach.

Inne miasta wyprzedziły nas. Łódź ma kilka stałych teatrów kukiełkowych, a mianowicie: TUR-u, Wojew. Ośrodka Krzewienia Kultury i Sztuki, Wileński Teatr Łątek, Kukiełki Ulanowskiego w „Czytelniku". Poza tym latem ub. r. Teatr Wojska Polsk. wystawił bardzo pięknie bajkę Słowackiego „O Janku, co psom szył buty". Kraków posiada: Teatr „Wesoła Gromadka". Poza tym odbywają się w Krakowie dorywcze imprezy sceniczne dla dzieci. Warszawa dotąd nie zdobyła się na ani jeden stały teatr dziecięcy. Nie potrzeba tu chyba tłumaczyć, jaką rolę teatr może odegrać, jako czynnik wpływający na rozwój umysłowy i poczucie estetyki u dzieci. O tym, jak dzieci spragnione są żywego słowa, świadczyć może fakt, że Teatr Mały, w którym zorganizowano dnia 16 marca poranek bajek w wykonaniu Ładosza, był poprostu oblężony przez dzieciarnię. I wiele maleństw odeszło z płaczem, nie dostawszy się na przedstawienie z powodu braku biletów. Żal było patrzeć na nie i na strapione miny rodziców. Oby poranki takie — z braku stałego teatru dla dzieci — urządzane były jak najczęściej.

Ładosz ma wielki dar przemawiania do dzieci, nawiązywania z nimi kontaktu przez wczucie się w ich psychikę. Poranek swój wypełnił on bajkami stojącymi na dość wysokim poziomie artystycznym. Do takich zaliczyć należy zwłaszcza pełną poetycznej fantazji bajkę Hanny Januszewskiej „O Pleciudze", kołyszącą spokojem bajkę „Siwa gąska, siwa", oraz buńczuczną, kipiącą temperamentem bajkę „Niedaleko od Kuliku", której refren: „Tańcowali Kuba Jurek i świderek i ma zurek" tak raduje dziatwę. (Obie bajki tejże samej autorki). Również znana bajeczka Lucyny Krzemienieckiej „O tym, jak się rzep przyczepił do psiego ogona" zawsze zachwyca dzieci z powodu bogactwa użytych w niej onomatopeii, oraz przekornego dowcipu. (Wymienionych bajek wcale obecnie na półkach księgarskich nie ma). Bajka Ewy Szelburg-Zarembiny „O gęsim jaju, raku nieboraku, kaczce-kwaczce, kogucie piejaku, kotku mruczku i piesku kruczku" choć zabawna, jest nieco przeciągnięta; równocześnie jej końcowy morał o rozdzieleniu srebra i złota pomiędzy biedotę jest do niej przyklejony niejako na prędce i nie pochodzi ze świata przeżyć dziecka. Oprócz wymienionych utworów Ładosz recytował jeszcze bajkę Hanny Januszewskiej „O kocie co fajkę kurzył" i „Lokomotywę" Tuwima. Recytację wszystkich tych bajek powtórzono 22 marca.

Celowe byłoby zorganizowanie stałych takich poranków dla dzieci i to w większej sali, np. w Romie. Odnośne władze powinny użyczyć sali dla biednej, pozbawionej rozrywek najmłodszej dzieciarni Warszawy. Choć nasza literatura dla dzieci jest obficie zachwaszczona tandetą, znalazłoby się jednak sporo ładnych bajek do recytowania. Pomyśleć o tym powinnoby się zwłaszcza dlatego, że dzieci warszawskie utraciły swoje biblioteczki, a obecnie dobre książki są tak drogie, że rodzice niejednokrotnie nie mogą sobie na nie pozwolić. Siłą rzeczy dzieci posługiwać się muszą tanimi, bezwartościowymi wydawnictwami, które nie tylko, że nie pogłębiają psychiki dziecka, lecz ją jeszcze zaciemniają. Za przykład mogą służyć w pierwszym rzędzie nasze abecadła z naciągniętymi, lub częstochowskimi rymami, oraz niektóre książeczki Zechentera i innych autorów przedwojennych o języku bardzo niepoprawnym.

Przy obecnych przemianach metoda wychowywania za pomocą sztuki powinna być stosowana w całej rozciągłości. I dlatego też na wydawcy powinien ciążyć obowiązek dbania o wysoki poziom lektury dla dzieci. Dobrze się stało, że obecnie wznowiono przynajmniej wydawnictwo książek Konopnickiej „Na jagody" i „O krasnoludkach i sierotce Marysi". Z książek nowych, których jest bardzo mało, na wyróżnienie zasługują — głównie ze względu na ładne i ciekawe ilustracje — Bogdana Brzezińskiego „O kaczce, która kaszkę ważyła" — ilustr. Olgi Siemaszkowej, oraz „Miś z parasolem" J. Minkiewicza — ilustr. M. Eilego i J. Kamyczka. Estetyczną szatę zewnętrzną, dowcipne ilustracje i nienaganną treść posiadają następujące książki, które można obecnie nabyć: J. Krzymuskiej „O psie Burku i jeżu kolczurku" (ilustr. Raczyńskiego), „O krasnoludku i wilku" J. Odrowąża (ilustr. Wielhorskiego) z ładnie podanym morałem, „O panu Niedźwiedzińskim" H. Mokrzyckiej (ilustr. T. Gronowskiego), dwie książki Gwidona Miklaszewskiego z jego własnymi ilustracjami: „Bajka o książeczce" i „Jak skrzaty dla Andrzejka hulajnogę zrobiły", W. Gruszczyńskiej „Leśny sklepik" (ilustr. J. Piętkówny), Wujka Czesia opowiadania fantastyczne wydane w Poznaniu „Ślicznotka i zaczarowany niedźwiedź", wreszcie Brzechwy „Tańcowała igła z nitką" i „Kaczka dziwaczka". Wielkim powodzeniem cieszą się u dzieci książeczki Brzechwy w miniaturowym wydaniu p. t.: „Leń", „Grzebień i szczotka", „Chrząszcz", „Kijanki", „Lis i jaskółka", oraz „Dziura w moście".

Jeżeli chodzi o wydawane obecnie pisma dla dzieci „Świerszczyk" i „Przyjaciel", to niestety niezawsze stoją one na wysokim poziomie. Dydaktyzm podany jest niejednokrotnie bardzo niezręcznie; zagadnienia aktualne niezbyt frapujące dzieci — zwłaszcza młodsze — zbytnio wysuwają się na plan pierwszy. To samo można powiedzieć o realistycznej książeczce propagandowej H. Koszutskiej „Spełnione marzenia", poruszającej zagadnienie akcji przesiedleńczej na zachód. Z pewnością szerszy i racjonalniejszy wpływ możnaby wywierać na dzieciach za pomocą bliższych psychice dziecka opowiadań fantastycznych, baśniowych, niepozbawionych głębsze myśli moralnej.

Obenie, gdy tak brak dobrych pod względem literackim książek, wartoby rozpisać konkurs na książkę dla dzieci (oczywiście z wyeliminowaniem czynnika propagandowego, obniżającego zawsze wartość utworu). Dobra nowa książka mogłaby też posłużyć teatrowi przy organizowaniu przedstawień dziecięcych, aby nie potrzeba było w kółko wałkować starych bajek. Powracając do przedstawień dla dzieci, nie od rzeczy będzie przypomnieć że i „Film Polski" powinien również zatroszczyć się o dzieciarnię tak młodszą, jak i starszą. Wspomnijmy tylko, ile radości miały dzieci z „Królewny Śnieżki" i grotesek kolorowych Disneya.

Oby piękny i rzeczowy artykuł Jerzego Zagórskiego o naszym braku dbałości o dzieci (Tygodnik Powszechny z dn. 17 marca) nie pozostał bez echa.

Wanda Bacewiczówna

Przegląd prasy

100-letnia rocznica powstania Krakowskiego przyniosła w drugim zeszycie „Twórczości“ (luty) dwie pozycje pisarskie (pracę Jerzego Eugeniusza Płomieńskiego „Przed wybuchem Powstania Krakowskiego w 1846 r.“ traktujemy raczej, jako skrótowy przyczynek historyczny). Są nimi: artykuł Romana Werfla „Dembowski i Szela, rok 1846“ oraz wyjątek z powieści „Tułacze“ Tadeusza Hołuja.

W pracy Romana Werfla jest tyle pasji publicystycznej, że dominuje ona nad usiłowaniem źródłowego i historycznego podparcia wywodów. Nie jest to oczywiście szkic historyczny i napewno nie w celu dania wszechstronnego i wyczerpującego obrazu roku 1846 pisał Werfel swego „Dembowskiego i Szelę“.

Praca Werfla zmusza do zastanowienia się nad sprawą zupełnie uboczną, daleką od tematyki „Dembowskiego i Szeli“, a wydaje się, że najbardziej istotną dla pisarstwa historyczno - publicystycznego wogóle, a dla pisarstwa marksistowskiego w szczególności.

Tkwi bowiem w polskim pisarstwie marksistowskim wyraźna skłonność i nawet tendencja do utrzymania, że tak powiem, „biblijnego“ charakteru doktryny. Polskie pisarstwo marksistowskie nie wytworzyło w dostateczny sposób polskich koncepcji realizatorskich, stąd też w podejściu do zagadnień politycznych, w publicystyce społecznej i historycznej nie ma przejawów polskiej interpretacji doktryny marksowskiej.

Wywołuje to w skutkach widoczną słabość. Słabość, za którą nie można oczywiście winić obecnych polskich pisarzy marksistowskich.

Wielcy realizatorzy doktryny marksowskiej w świecie, a przede wszystkim w Rosji Sowieckiej, stworzyli systemy rodzime i narodowe, doktrynie nadali żywy kształt. Lenin i Stalin stali się praktycznymi i rzeczywistymi wyrazicielami w życiu tej doktryny, która, jak każda inna zresztą, dopiero w dziele realizatorów posiada siłę i prężność.

W Polsce nie było i dotąd nie ma wielkich interpretatorów i realizatorów doktryny marksowskiej. Stąd powikłania psychiczne, stąd ciążenie wielkich, a nie zespolonych z polską psychiką narodową, interpretatorów i realizatorów doktryny na polskich rodzimych poczynaniach realizatorskich marksizmu.

Roman Werfel w ocenie Powstania Krakowskiego w sposób bardziej jaskrawy, niż czynią to inni, daje wyraz braku umiejętności, i bodaj nawet chęci, „polsko-marksistowskiego“ spojrzenia na rzeczywistość historyczną. Stąd w pracy jego jest zbyt wiele rażących ocen. Werfel w swoim studium o Dembowskim i Szeli nie wykazuje zresztą żadnej wielkiej klasy myśliciela, jest publicystą — dobrym kompilatorem tekstów o wyraźnym, co jest wielką zaletą, pionie ideologicznym. I może dlatego, że nie tworzy, a publicystycznie odtwarza, jego oceny bardziej rażą.

Drobiazgi. Powstanie 1830-31 roku ocenia określeniami Engelsa, nazywa je rewolucją, nie analizuje ówczesnego układu sił społecznych w Polsce, nie podkreśla celów Powstania. Powtarza za Engelsem, że Powstanie 1830 r. nie było rewolucją ani narodową, ani polityczną, a po prostu rewolucją konserwatywną. To drobiazgi, ale drobiazgów tych możnaby cytować wiele.

Z punktu widzenia celów rewolucyjnych doktryny marksowskiej, a może nawet i więcej, bo z punktu widzenia właściwszego układu stosunków socjalnych— Werfel ma rację. I nawet nie o potknięcia historyczne tu chodzi, nawet nie o zbyt małe uwzględnienie ogromnej dysproporcji między rewolucyjnymi założeniami Dembowskiego a rewolucyjną koncepcją Marksa i Engelsa — chodzi tu o klimat pracy. O wyraźny brak w tworzonym przez Werfla klimacie polskiego czynnika psychicznego, nieodzownego przecież przy jakichkolwiek próbach nadania siły i prężności w Polsce doktrynie marksowskiej.

Wyjątek z powieści „Tułacze“ Tadeusza Hołuja, dobrany okolicznościowo do rocznicy Powstania Krakowskiego, swoją siłą sugestywną każe wierzyć w prawdziwość nastrojów emigracyjnych, w kształtowanie się w warunkach tragicznych, nienormalnych i chorych wielkich myśli. Myśli anemicznych, karmionych ekstatycznymi wybuchami, odżywianych plotką. I tu chodzi o klimat. Tutaj jedynie ważnym jest klimat. Gorączkujący ksiądz Generowicz wydobywa taką ekstatyczną siłę uczucia, że łamie dogmaty, apostołuje zatraceniu personalnej odpowiedzialności człowieka przed Bogiem, głosi zbawienie człowieka przez wcielenie go w zbawienie społeczeńskie.

Zestawienie pracy Romana Werfla z fragmentem Tadeusza Hołuja ma swój specjalny wydźwięk. Z jednej strony tęsknota wykolejeńców, nie reprezentująca żadnej siły — z drugiej tragiczny w skutkach dla sprawy ludu polskiego rozwój zrywu narodowego — rewolucji socjalnej.

Rok 1846 jest przyczynkiem do historii ludowych ruchów rewolucyjnych. Może być również, i powinien, rozdziałem takiego podręcznika szkoleniowego, który obecnych i przyszłych przywódców walki o sprawiedliwość społeczną przekona o konieczności poszukiwania istotnych sił psychicznych, gwarantujących moc i prężność społeczną doktryny, którą wyznają i głoszą.

200-letnia rocznica urodzin Tadeusza Kościuszki znalazła w drugim zeszycie „Twórczości“ swój wyraz w „Rozmowach“ Tadeusza Kościuszki, oraz we fragmencie dramatu Janiny Skowrońskiej-Feldmanowej „Tadeusz i Ludwika“.

Na całość zeszytu składają się, poza omówionymi i wymienionymi pracami: Kalewala (Stworzenie świata), Krzysztofa Baczyńskiego „Serce jak obłok“, Lucyny Kraśnickiej „Pamiętnik z roku 1846“, Romana Jangardena „Czas i człowiek“, Kazimierza Wyki „Pogranicze powieści“ (omówione książki: „Droga wiodła przez Narwik“ Ksawerego Pruszyńskiego, „Dymy nad Birkenau“ Seweryny Szmaglewskiej i „Noc“ Jerzego Andrzejewskiego), „Diariusz Kultury Polskiej 1945“ (niepełny trzeba stwierdzić brak pewnych pozycji), oraz „Noty“.

wb.

ŚRODA LITERACKA.

Bogdan Kamodziński zaprezentował nam w swoim wieczorze autorskim wiersze z wydanego przed wojną zbiorku p.t. „Wieczność świecąca“, wiersze z okresu powojennego, oraz dwa opowiadania prozą. Poezja Kamodzińskiego ma charakter liryki kontemplacyjnej, której tematyka obraca się przeważnie dookoła zjawisk natury wpływających silnie na duszę autora. Wiersz płynie spokojnie, rytmicznie, lecz chwilami nuży pewną monotonią zawartej w nim romantycznej melancholii. Na wyróżnienie zasługują poetyczne wiersze: „Nad Wisłą“ i „W kącie zapadłym“ oraz wiersz „Nie naszym muzom“. Natomiast wiersz „Morska noc“ razi z powodu zbytniego nagromadzenia obcych i wyszukanych słów. Na dobro Kamodzińskiego zapisać można to, że niezmiennie trwa on przy poezji czystej, nieużytkowej a raczej niekoniunkturalnej. Szkoda tylko, że dane nam wrażenia przemijają szybko, tak szybko jak malowane w wierszach nastroje. Dwa opowiadania „Wakacje“ i „Na Grochowie w r. 43-ym“ o tematyce wojennej zupełnie nieciekawe pod względem artystycznym i niezręcznie skonstruowane.

b.

Międzynarodowa Kronika Gospodarcza

SYTUACJA FINANSOWA FRANCJI

Francja należy obecnie do tych państw w Europie, które posiadają najbardziej rozstrojone finanse. Dysproporcja pomiędzy ilością dóbr i ilością pieniądza wywołuje niezwykle silne procesy inflacyjne, które są wprawdzie hamowane, tym nie mniej odnawiają się i pogłębiają. Do głównych przyczyn tego stanu rzeczy należy zaliczyć: spadek produkcji, ograniczenie importu, eksploatacyjna polityka okupanta, deficyty budżetowe.

Najlepszym wyrazem niezwykle trudnej sytuacji finansowej Francji jest ogromny wzrost obiegu banknotów. W 1939 r., a więc w roku pełnego rozwoju gospodarczego, obieg banknotów wynosił 142 miliardy franków, podczas gdy w 1944 632 miliardy franków. Wzrost powyższy był spowodowany przede wszystkim koniecznością pokrywania kosztów okupacji, do czego Francja została zmuszona na mocy postanowień rozejmu w 1940 r. W czasie od 25.8 1940 r. do 16.8 1944 r. Bank Francuski wypłacił okupantowi ponad 630 miliardów franków. Poza tym deficytowość całej gospodarki narodowej w czasie wojny zmuszała do coraz silniejszego zadłużania się Skarbu Państwa w Banku Emisyjnym i w rezultacie emitowania banknotów nie mających rzeczowego pokrycia. Obecnie olbrzymie wydatki, związane z odbudową, utrudniają w dalszym ciągu sanację budżetu państwa, który na rok 1945 wynosił 400 miliardów, a tylko kwota 172 miliardy znalazła pokrycie w wpływach podatkowych.

Trudna sytuacja wewnętrzno-polityczna, wywołana przede wszystkim przez brak zdecydowanej większości w parlamencie, niewątpliwie jeszcze bardziej utrudnia, o ile w ogólności nie uniemożliwia pokonania trudności gospodarczych.

Aczkolwiek dotychczas Francja nie zdobyła się na radykalną reformę gospodarczą, tym nie mniej należy zanotować szereg zabiegów, które w pewnym stopniu przyczyniły się do chwilowego złagodzenia sytuacji.

Z końcem 1944 r. rozpoczęto emisję 3% pożyczki wyzwolenia (L'emprunt de la liberation), która została pokryta do wysokości 162 miliardów. W dniu 3.4 1945 r. wypuszczono emisję bonów wyzwolenia (Bon de la liberation). Rozporządzenie z dnia 30.5 1945 r. wprowadziło wymianę banknotów. Wymiana powyższa tylko w nieznacznym stopniu spowodowała zmniejszenie się obiegu banknotów, natomiast ujawniła tą część majątku każdego obywatela, która dotychczas była anonimową. Efekt ten miał poważne znaczenie dla ściągnięcia nowowprowadzonych podatków. W celu zmniejszenia deficytu budżetowego minister finansów Pleven wprowadził dekretem 15.8.45 r. dwa podatki. Podatek „solidarności narodowej“, będący podatkiem od kapitału oraz podatek od wzbogacenia. Pierwszy łagodnie progresywny, uwzględniający stan rodziny, drugi o progresywności znacznie silniejszej.

Pomimo powyższych procesów procesy inflacyjne rozwijały się nadal, ujawniając się przede wszystkim w szybko postępującej zwyżce cen. W rezultacie ceny we Francji pod koniec ubiegłego roku były trzykrotnie wyższe, aniżeli ceny na rynkach światowych. Fakt ten zmusił Francję do dewaluacji franka do poziomu 1 dol. = 119 frank. (dawniej 48 fr.), 1 Ł szterl. = 480 fr. (dawniej 197 fr.). Czy efekt, jaki ma być osiągnięty przy pomocy tego zabiegu, nie zostanie unicestwiony przez dalszą zwyżkę cen — to przyszłość pokaże.

Uzupełnieniem dewaluacji było wprowadzenie b. rygorystycznych ograniczeń dewizowych.

Nadzieje na radykalną poprawę finansową wiąże Francja z misją Bluma w Stanach Zjednoczonych, która ma doprowadzić do uzyskania poważnego kredytu dolarowego. Ta okoliczność spowodowała ratyfikowanie przez Francję układów w Bretton-Woods oraz ustalenia stałego parytetu w stosunku do dolara, mimo tego, iż pociągnięcie to w warunkach braku wewnętrznej stabilizacji gospodarczej wydaje się być dość ryzykowne.

W związku z zabiegami Francji o kredyt zagraniczny należy wspomnieć o poważnych avoirach francuskich zagranicą, których upłynnienie napotyka jednak na bardzo poważne trudności.

Całokształt stosunków kredytowo-debetowych z zagranicą podajemy poniżej.

KREDYTY ZAGRANICZNE DLA FRANCJI

Jak wiadomo, rząd angielski odmówił prolongaty na dalszy rok układu kredytowego z Francją, który został zawarty dnia 27 marca 1945 r., a ekspirował z dniem 28 lutego b. r. Za wszystkie towary, nabyte w Anglii po tym terminie, Francja będzie więc musiała płacić gotówką, o ile w międzyczasie nie dojdzie między obu państwami do porozumienia. W związku z zerwaniem rokowań kredytowych „The Economist“ podaje zestawienie zagranicznych długów i wierzytelności Francji. Zarówno wysokość obu tych pozycyj, jak ich wzajemny stosunek stanowią w pewnym sensie niespodziankę — w jego świetle sytuacja Francji na międzynarodowym rynku kredytowym przedstawia się znacznie korzystniej, niż to się naogół przypuszcza. Poniższa tabela obrazuje kredyty zagraniczne, uzyskane przez Francję w 1945 r. (w milionach dolarów):

Stany Zjednoczone:

Kredyty długoterminowe:	Kredyt otwarty	Kredyt wykorzystany do 31 grudnia 1946 r
a) Kredyt rządowy z dn. 28.II	345	345
b) Kredyt udzielony dn. 27.XII przez Bank Eksportowo-Importowy	550	—
Kanada (13.IX)	240	40
Razem	1.135	385
Kredyty krótkoterminowe:		
Umowa francusko-brytyjska (27.III)	600	592
Umowa francusko-belgijska (23.II)	23	35.5
Umowa franc.-szwajcarska (22.III i 16.XI)	58	37
Umowa francusko-szwedzka (21.VI)	wysokość nieustalona	23
Umowa francusko-duńska (7.X)	7	1.5
Umowa franc.-argentyńska (22.X)	36	24
Razem	724	713
Kredyty długo- i krótkoterminowe łącznie	1.859	1.098

Okazuje się zatem, że Francja potrafiła otrzymać kredyty od całego szeregu krajów. Jeśli pominąć świadczenia od Stanów Zjednoczonych z tytułu umowy dzierżawno - pożyczkowej, stanowiące oddzielną kategorię, kredyty angielskie przewyższają wszelkie inne, nie wyłączając amerykańskich, przy czym na uwagę zasługuje fakt, nieogłoszony dotąd oficjalnie, że pierwotnie miały one wynosić 400.000.000 dolarów, następnie jednak zostały podniesione na 600.000.000. Powyższe kredyty zostały do końca 1945 r. całkowicie zużyte. Z drugiej strony należy pamiętać, że w owym okresie większość wierzytelności francuskich w Anglii, szacowanych na 160.000.000 dolarów, była pod sekwestrem rządowym, traktowano je bowiem na równi z mieniem nieprzyjacielskim.

Na ultimo 1945 roku całkowite publiczne zadłużenie Francji zagranicą wynosiło 1.283.000 dolarów, albowiem do wspomnianej już sumy wykorzystanych kredytów w wysokości 1.098.000 należy jeszcze doliczyć 185.000.000 dolarów, jako zaległość z innych kredytów długoterminowych, niewyrównaną w chwili zawierania wymienionych w tabeli umów pożyczkowych. Wierzytelności państwowe Francji zagranicą z tytułu rozrachunków z innymi krajami wynosiły wówczas złocie i dewizach 1.817.000 dolarów, czyli mimo wysokiego zadłużenia zagranicą Francji pozostawało jeszcze czynne saldo w wysokości przeszło pół miliarda dolarów!

Do tego należy jeszcze dodać wierzytelności zagraniczne prywatne, t. zn. przysługujące obywatelom francuskim. Nie były one jeszcze wówczas całkowicie obliczone, jednakowoż według rozporządzalnych wtedy danych złoto i „mocne“ waluty, będące w posiadaniu (czyli mimo wysokiego zadłużenia zagranicą Francji pozostało jeszcze czynne saldo w wysokości przeszło 1/2 miliarda dolarów) obywateli francuskich przedstawiały wartość 237.000.000 dolarów, papiery wartościowe zaś, opiewające na złoto lub „mocne“ waluty, reprezentowały 711.000.000 dolarów, czyli suma tych wszystkich zagranicznych walorów w rękach obywateli francuskich wynosiła 948.000.000 dolarów. Ktoby przypuszczał, że mimo pięciu lat wojny i okupacji zapobiegliwa Francja potrafiła zachować tak sporą część swej przez dziesiątki lat gromadzonej fortuny! Że z drugiej strony te właśnie wyratowane pozycje majątkowe znacznie jej ułatwiły zrealizowanie tak korzystnych tranzakcji kredytowych, to również zdaje się nie ulegać wątpliwości.

Na razie jednak, o ile chodzi o stosunki kredytowe z Anglią, sprawa utknęła na martwym punkcie. Francja liczyła na przedłużenie układu kredytowego z Anglią na dalszy rok, przy czym swój dług wobec Wielkiej Brytanii zamierzała spłacać wierzytelnościami swych obywateli w funtach szterlingach, które miały być od nich przymusowo wykupione przez rząd francuski, jak również wpływami z likwidacji inwestycyj francuskich zagranicą. Angielski minister skarbu ze swej strony zaznaczył, że jeśli rząd brytyjski musi wstrzymać kredyty dla innych krajów, to jest to jedynie następstwem jego własnych kłopotów finansowych. Wobec tego, że pożyczka amerykańska dla Anglii wciąż jeszcze nie została ratyfikowana przez kongres Stanów Zjednoczonych, ostrożność rządu brytyjskiego w przyznawaniu kredytów zagranicznych jest aż nadto zrozumiała. Zarazem jednak okazuje się, do jakiego stopnia polityka kredytowa Ameryki, choćby formalnie ograniczona do jednego, aczkolwiek wpływowego partnera, jakim jest Wielka Brytania, oddziaływa na losy innych uczestników międzynarodowej wymiany.

ANGIELSKI RUCH ROBOTNICZY PRZED DYLEMATEM

Partia Pracy wydała niedawno temu broszurę na temat, jak zapewnić sprawiedliwy rozdział dóbr, dostępnych tylko w ograniczonych ilościach. Broszura może odegrać rolę przysłowiowego kija w mrowisku, zawiera bowiem ni mniej, ni więcej, tylko potępienie stanowiska związków zawodowych, streszczającego się w żądaniu podwyżek płac. Publikacja nie nosi wprawdzie charakteru oficjalnej wypowiedzi kierownictwa partii, przeciwnie, podkreśla wyraźnie, że chodzi jedynie o głos w dyskusji. Niemniej ma ona swój ciężar gatunkowy, a poruszone w niej zagadnienie posiada tak aktualne znaczenie w powojennym układzie stosunków społecznych. Znaczenie tym istotniejsze, im większy jest udział robotników w rządach i wynikająca stąd odpowiedzialność, że warto z wysuniętymi w broszurze tezami się zapoznać.

Myślą przewodnią autorów jest uświadomienie robotnikom całego niebezpieczeństwa, jakie przedstawia inflacja oraz znaczenia środków, stosowanych przez rząd, w celu jej uniknięcia, jak np. zneutralizowanie dodatkowej siły kupna drogą opodatkowania i przymusowych oszczędności, racjonowanie, kontrola cen, oraz rozszerzenie standaryzowanej produkcji najpotrzebniejszych dóbr. Broszura zaznacza, że przed wojną w okresie masowego bezrobocia i nadmiaru dóbr, ciążących nad rynkiem z braku nabywców, leżało w interesie narodowym podnoszenie płac robotniczych i zwiększanie w ten sposób siły nabywczej szerokich mas. W obecnych warunkach jednak, gdy sytuacja jest odwrotna, t. zn. panuje pełne zatrudnienie, natomiast regułą jest brak dóbr, zwyżka płac pociągnęłaby za sobą inne skutki. W niektórych przemysłach, jak bawełniany i budowlany, podniesienie płac jest konieczne, by ściągnąć bądź zatrzymać siły robocze. Zasadniczo jednak wskazane jest zahamowanie tendencji zwyżkowej w odniesieniu do płac w tych gałęziach przemysłu, gdzie robotnicy są lepiej płatni, silniej zorganizowani i w następstwie mają największe szanse przeprowadzenia swych postulatów. „Z punktu widzenia narodu, należałoby przeciwstawić powściągliwość naciskowi, zmierzającemu do zupełnie dowolnych zwyżek płac“.

Na ogół biorąc, płace robotnicze w Anglii nie wykazują nadmiernego wzrostu. Niemniej groźba błędnego koła — zwyżka płac, potem zwyżka cen wobec dysproporcji między wzrostem siły kupna a brakiem towarów, w następstwie znów spadek realnej wartości płac i t. d. — wciąż jest aktualna. Szereg potężnych związków zawodowych, zrzeszających robotników w przemyśle mechanicznym, transporcie kolejowym i drogowym i t. d., wysuwa żądania podwyższenia płac. Związki te niewątpliwie odczują jako niesprawiedliwe te tezy, które zostały w broszurze wysunięte. Nie mniej oba stanowiska, wyrażone w dylemacie: zwyżka czy stabilizacja płac — zostały wewnątrz ruchu robotniczego ujawnione. Przyszłość okaże, które stanowisko zwycięży.

P.

Szeroki horyzont

EMIGRACYJNA GORĄCZKA WZRASTA

Donosiliśmy przed niedawnym czasem o gorączce emigracyjnej, jaka coraz bardziej rozpowszechnia się w Wielkiej Brytanii. Nowe informacje nietylko potwierdzają dotychczasowe, ale i podają, że coraz więcej Brytyjczyków chce opuścić swój kraj, by za morzami rozpocząć nowe życie.

Na pierwszym miejscu na liście państw interesujących kandydatów na osadników, znajduje się Australia, która — jak wiadomo — postanowiła doprowadzić do zwiększenia swej ludności z 7.300.000 do 20,000.000. W związku z tym, rząd tego dominium opracowuje szczegóły planu emigracyjnego, które będą w najbliższym czasie ujawnione. Jak dotąd, z samego tylko londyńskiego biura emigracyjnego donoszą, że złożono tam ponad 50.000 podań brytyjskich poddanych, proszących o wizy wjazdowe do Australii, a ostatnio podań takich wpływa do tego biura ponad 700 dziennie.

Również i inne brytyjskie dominia są przedmiotem zainteresowania obywateli Zjednoczonego Królestwa. Przedstawicielstwo Południowej Afryki otrzymuje tygodniowo 1.000 próśb o pozwolenie wjazdu, a jest także wielu chętnych na wyjazd do Kanady i Nowej Zelandii.

Dominia brytyjskie tym chętniej powitają tych emigrantów, że są to prawie wyłącznie młodzi ludzie, którzy służyli w wojsku, marynarce czy lotnictwie, a obecnie, po demobilizacji, zbyt ciasno, głodno i chłodno jest im w starej Anglii. Wielu z kandydatów na wyjazd rekrutuje się spośród pilotów RAF'u, którzy byli przeszkalani w Kanadzie i Południowej Afryce i życie tamtejsze tak im się spodobało, że chcą się osiedlić na stałe w tych dominiach. Również i wiele dzieci, które w obawie przed niemieckimi nalotami ewakuowano za morze, nie chce obecnie wracać, a naodwrót stara się nakłonić swe rodziny do emigracji. Trzeba też pamiętać, że „dziecko", wywiezione z Anglii w roku 1939, dziś już trochę podrosło i może mieć swoje własne zdanie, tak, że wielu rodziców posłucha głosu swych dziatek.

Cała ta sprawa ma jedno wielkie „ale" — problem przewiezienia tych wielotysięcznych rzesz ludzkich do odległych kontynentów. O beznadziejności obecnych perspektyw niech świadczy fakt, że biura okrętowe w Londynie nie przyjmują już zapisów na miejsca na okrętach, które w roku przyszłym mają dopiero wyznaczone rejsy do zamorskich dominiów. Zamożniejsi emigranci udają się więc do szwedzkich lub belgijskich portów, by tam, na zagranicznych statkach dotrzeć do obranego celu. Tonaż okrętowy, zresztą i tak zdziesiątkowany przez wojnę, przeładowany jest obecnie transportami demobilizowanych żołnierzy i żywności dla Europy do tego stopnia, że nie ma żadnych możliwości udostępnienia przejazdu wszystkim chętnym do emigracji Brytyjczykom.

Tymczasem jednak linie okrętowe otrzymują wiele ofert od zdemobilizowanych mężczyzn i kobiet, którzy chcą uzyskać możność przejazdu za cenę pracy na statkach — nawet najbardziej ciężkiej.

Cały ten exodus nie byłby niczym dziwnym, wobec powszechnie znanego zamiłowania Anglików do wędrówek, gdyby nie ten pośpiech, nie licujący zupełnie z przysłowiowym opanowaniem i spokojem tego narodu.

Chęć lepszego życia? Poszukiwanie przygód? Żądza szerokich możliwości po europejskiej ciasnocie? — trudno uogólnić powody tej masowej wędrówki.

BABILON W NOWYM WYDANIU

Luksusowe kąpielisko Miami na Florydzie bije ostatnio wszelkie — nawet amerykańskie — rekordy w dziedzinie rozrzutności swych mieszkańców.

Sprawozdania prasowe podają, że ceny w tej miejscowości osiągnęły zawrotny poziom, co bynajmniej nie wpływa na frekwencję. Napływ gości jest tak wielki, że miejsce sypialne na podłodze w domu prywatnym lub w garażu kosztuje 5 funtów szterlingów za noc. Krawat jedwabny, ręcznie malowany — by przytoczyć inny przykład — kosztuje 350 funtów. Obroty nielegalnych klubów gry idą w setki tysięcy funtów co noc, a dzienny obrót totalizatora na wyścigach konnych nie spada poniżej pół miliona funtów szterlingów.

W Miami czynnych jest 150 dancingów, na których jednak nie można z powodu tłoku otrzymać miejsca bez uprzedniego zamówienia.

Jedynym wytłomaczeniem, jakie sprawozdawcy donoszący o tych wszystkich faktach znajdują, jest to, że wojna przyniosła bardzo wielu Amerykanom olbrzymie i łatwe zarobki, które obecnie chcą wydać w sposób równie łatwy, jak je osiągnęli.

I pomyśleć, że ten sam serwis British United Press, z którego czerpiemy tę wiadomość, zawiera doniesienia o głodzie w Indiach, fali strajków w Stanach Zjednoczonych, światowym niedoborze żywnościowym i innych, jeszcze mniej „różowych" faktach.

BALI — BEZ EGZOTYZMU

Inna znowu wyspa, której sława została rozniesiona po świecie przez wielojęzyczną literaturę — wyspa Bali — ukazała się znowu na łamach prasy.

Tym razem w nadchodzących stamtąd wiadomościach daremnie byśmy szukali egzotycznego kolorytu, gdyż i ten raj brunatnych ludzi został nawiedzony wojną.

Właśnie jednym z jej ostatnich aktów na tamtym terenie był dokonany niedawno desant, który bez wątpienia należał do najbardziej oryginalnych w historii wojen wogóle.

Chodziło mianowicie o rozbrojenie i wzięcie do niewoli stacjonującej jeszcze na tej wyspie załogi japońskiej. Ponieważ jednocześnie obawiano się starć z tubylcami, którzy są dalecy od sympatyzowania z powrotem przedwojennych panów wyspy — Holendrów, więc też przedsięwzięto specjalne środki ostrożności dla uniknięcia jakichkolwiek zatargów z miejscową ludnością.

Wojska holenderskie wylądowały na łodziach desantowych brytyjskiej marynarki, mając wyraźny rozkaz strzelania dopiero w wypadku zaatakowania przez ciemnoskórych wyspiarzy. Natomiast prowadzący łodzie desantowe angielscy marynarze, mieli zakaz strzelania wogóle. Cała ta operacja ziemnowodna była utrzymana w najściślejszej tajemnicy, by zupełnie zaskoczyć mieszkańców wyspy.

Tymczasem obyło się zupełnie bez wszelkich incydentów, co raporty kładą na karb... Japończyków, którzy zachowywali się bardzo przychylnie i uprzejmie wobec swych wczorajszych wrogów.

W ten sposób jeszcze jedna wyspa Mórz Południowych została oczyszczona. Wysp tych jeszcze sporo, a więc jeżeli będzie się je w tym tempie uprzątać z Japończyków, to ci ostatni, znudzeni wieloletnim czekaniem na dostanie się do niewoli, mogą stać się bardziej nieuprzejmi, by nie powiedzieć opryskliwi, a to może całą akcję bardzo skomplikować.

SĄSIEDZKIE OBRACHUNKI

Stany Zjednoczone sporządziły obszerny wykaz grzechów rządu argentyńskiego, który został doręczony przedstawicielom wszystkich państw Środkowej i Południowej Ameryki, akredytowanym w Waszyngtonie. Ma on format książki obejmującej 130 stron druku i rzuca pod adresem Argentyny bardzo ciężkie i obszernie umotywowane oskarżenia.

„Błękitna Księga" — gdyż tak został nazwany ten dokument zarzuca dwum kolejnym dyktatorskim rządom Argentyny że ściśle współpracowały z agentami nieprzyjaciela, ułatwiając im ich szpiegowską i dywersyjną działalność, szkodzącą wysiłkowi wojennemu Zjednoczonych Narodów, oraz że dążyły do stworzenia na swym terenie prawdziwie faszystowskiego państwa. Dalej, oskarżenie to zarzuca Argentynie „podminowywanie" sąsiadujących z nią krajów, dla oderwania ich od bloku alianckiego i włączenie w strefę wpływów Osi, a także dążenie do zachowania niezniszczonego potencjału gospodarczego niemiecko - japońskiego w tym kraju.

Następnie „Błękitna Księga" zajmuje się metodami „strategii maskowania", jaką stosuje rząd Argentyny od czasu klęski Osi, jak również piętnuje terrorystyczne metody, jakie stosuje rząd ten dla stłumienia wszelkiej opozycji, jaka przejawia się przeciw jego polityce w łonie samego narodu argentyńskiego.

Do tego dochodzą nowe nazwiska hitlerowskich agentów, operujących bezkarnie z bazy w Argentynie, a które uzupełniają pierwszą listę tego rodzaju, zestawione już przed przeszło rokiem.

Na pierwszym miejscu figuruje na niej major Elias Belmonte Pabon, który był dawniej boliwijskim attaché przy poselstwie tego kraju w Berlinie. Na stanowisku tym nawiązał bliskie stosunki z niemiecką „Sicherheitsdienst", która nagradzała jego usługi skromną sumką 20.000 marek rocznie. Szczytowym momentem jego kariery był pro-hitlerowski pucz w Boliwii, który był aktywnie wspomagany przez Argentynę i który miał na celu obalenie demokratycznego rządu, jaki sprawował władze w Boliwii.

Na koncie Perona & Co figurują jeszcze inne pozycje: spisek przeprowadzony przeciw rządowi Vargasa w Brazylii, a kierowany bezpośrednio przez doktora Raimundo Padilha — przywódcę brazylijskich faszystów; tu znowu chodziło wyraźnie o robotę według hitlerowskiej recepty, a mianowicie osłabienie wysiłku wojennego Brazylii, walczącej przeciw Niemcom i Japończykom.

W konkluzji, Stany Zjednoczone stwierdzają, że ten rząd argentyński, tak wyraźnie skompromitowany współpracą z wrogiem, nie może cieszyć się zaufaniem sąsiadów.

Przyszłość pokaże, jak rozwinie się sytuacja w Argentynie, kraju, który nie zaznał wojny, a pomagał Hitlerowi.

Wilk

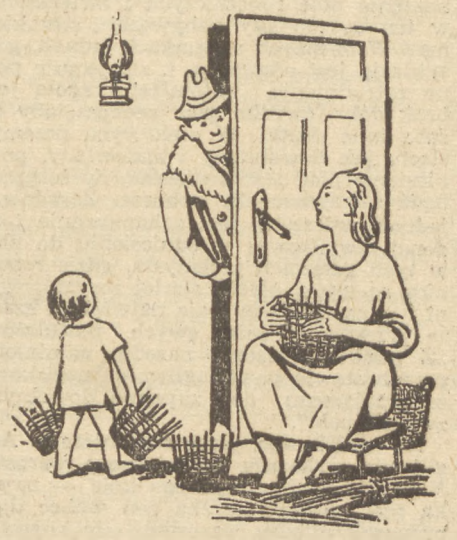

— Chciałem się dowiedzieć, czy tu pracuje 50-ciu robotników? (inspekcja w związku z dekretem o upaństwowieniu przemysłu).

2 systemy premiowe.

— A czy na legitymację Związku Zawodowego dostanie się taniej?
— Nie, proszę pani, ale do każdych 10 dużych sztuk dodajemy małą trumienkę bezpłatnie.

GODZIWA ROZRYWKA

Pewien młodzieniec, chcąc godziwie się zabawić.
Postanowił lisowi wytrzask sprawić:
Poszedł w las, schwytał lisa, w klatkę zwierzę wtrącił
I za drągiem dębowym szukał tu i owdzie.
Gdy dębczaka wystrugał — przystąpił do czynu — —
Lis, rażony ciosami, rzecze: „Drogi synu,
Czemu znęcasz się srodze i za co mnie bijesz?"
Na to odrzekł młodzieniec, pomnażając kije:
„Za to, że jako zwierzę — (cios leci za ciosem)
Nie masz prawa przemawiać do mnie ludzkim głosem".

Maciej J. Kononowicz

Zamiast fotografii sprzed 15 lat.

W związku z umieszczeniem przez „Kuźnicę" fotografii, przedstawiającej ówczesnego Nuncjusza Papieskiego w Niemczech, Msgr. Pacellego, opuszczającego pałac prezydenta Rzeszy.

Poprawki literackie.

Redaguje: Kolegium redakcyjne. Redaktor naczelny: Witold Bieńkowski. Kierownik Oddziału Krakowskiego: Wojciech Kętrzyński. Wydawca: Kolegium redakcyjne.
Adres redakcji i administracji: Marszałkowska 81 m. 17. Konto P. K. O. — Nr I—727. Redaktor przyjmuje codziennie od godziny 11 do 12.
Adres Oddziału Krakowskiego: Kurkowa 5 m. 4. Redaktor przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godziny 13 do 14.
Prenumerata miesięczna 30 złotych. Kwartalna 85 złotych.
Złożono w Zakł. Graf. „Dźwignia" Widok 24 B—07104 Odbito w Drukarni „Czytelnik" Nr. 2, Marszałkowska 3-5.